

Nr. 19
8 MAJA 1938 ROKU
CENA 40 GROSZY

LADY CHIC
FOT. IMRE VON SANTHO

Pêle mêle wiosenne

O wiosno, kto cię widział w naszym kraju... — mówią sobie Francuzi i robią co mogą, by oglądać tę wiosnę jak najczęściej poza miasem. W związku z tem zupełnie zrozumiałem zamiłowaniem notują kroniki policyjne Paryża zupełnie nowy, specyficznie wielkomiejski, rodzaj przestępstw. Oto zauważono, że pozostawione niepilnowane w piątek po południu samochody (zwłaszcza te bardziej eleganckie) znikają na 2 dni, by potem w poniedziałek znaleźć się w temże miejscu w nienagannym stanie! Kurtuazja „wypożyczających" dochodzi do tego, że nawet napełniają do pełnego zbiornik paliwa, ba! nawet myją samochody przed oddaniem. Jeden adwokat twierdzi, że mu się z jego samochodem już parę razy taki wypadek zdarzył, a ostatnio znalazł przy kierownicy przypięty bukiet z kartką dziękującą w serdecznych słowach za umożliwienie spędzenia miłych chwil week-endu. — W czem rzecz? Oto, jak to mawiał Zagłoba: „Na wiosnę wiór do wióra rad lgnie" — a cóż dopiero wesoła młodzież Paryża. Ale milej jest spędzać chwile na łonie przyrody, niż na bruku paryskim, a nie zawsze są na to środki.

Nie każda miłość kończy się wycieczką za miasto, bywają kobiety nieustępliwe i pełne zasad, jak w tej piosence amerykańskiej „Hard hearted Hannah — Vamp from Savannah"... (Twarde serce Hanny — Vampa ze Sawanny...).

Taką kobietę musiał spotkać ten Rumun, który, po stanowczym „koszu", strzelał w swoje serce. Celował oczywiście w lewą stronę piersi i właśnie dlatego nic mu się nie stało, bo jak się później okazało, serce miał z... prawej strony!

Na ciepłą porę poleca się odpowiedni trunek. Jaki? Oczywiście szwedzki punch mrożony w lodzie! Mogę właśnie podać skąd się wziął. Oto w Erfurcie znaleziono pożółkły pergamin, opisujący jego narodziny. Dnia 4 października 1631 r. król Karol Gustaw był w Erfurcie i w danym dniu w świetnym humorze. Podczas przechadzki trafił między innemi, przypadkiem na posiedzenie zacnego cechu siodlarzy i ci wśród silnego przepijania zamianowali go swym rycerzem. To też w podwójnie dobrem usposobieniu znalazł się potem — jak zwykle — w swej oberży, w której byli m. i. rajca miejski aptekarz Schwind, Otto v. Guericke, hr Loewenstein i jakiś z notabli miejskich. Powstała kwestja napitku; ten to, tamten znów radził co innego. Aż Gustaw zamówił u Schwinda trochę różnych ziół. Zmieszał, przyrządził i w lodzie dał do skosztowania. Wszystkim ten pachnący napitek smakował tak nadzwyczajnie, że zaczęli się sprzeczać, jak go nazwać. Król rozstrzygnął: „Jest nas tu 5, po zywa „Szwedzki Punch"!

Jak mowa o trunkach, to mimowoli staje w wyobraźni omszała pajęczynami pokryta flaszka. Pajęczyny mają być dowodem starości. Zrozumiano to we Francji najwidoczniej, bo właśnie niedyskretna prasa doniosła, że pewien chłop w Normandji Pierre Brantaire, ma hodowlę pająków w celu,.. zrobienia przyjemności smakoszom!

Wiosna, słońce itd. ,to zagrożenie cery. To też roić się zaczyna od ogłoszeń wszelakich kosmetyków. Każde z ładniejszą główką, tak że czytelnik w głowę zachodzi, skąd (zwłaszcza piękne ogłoszenia anglosaskie) biorą takie modele. Naprzykład w Nowym Jorku, niejaka Mrs Sue ma agencję modeli reklamowych. Taka agencja ma w ewidencji najładniejsze żywe typy, by je wynajmować zależnie od zapotrzebowania.

A propos szminek: szminki w fabrykach próbuje się na ogolonych świnkach morskich. A próbuje się, by się upewnić, czy nie są przypadkiem szkodliwe. A zbyt szminek to nie byle co! W anglosaskich krajach i na zachodzie wogóle, kobiety oceniają dobrze wagę ładnego i świeżego wyglądu. Toteż statystyki podają fantastyczne cyfry zużycia. Oto w USA np. na szminki wydaje się tyleż, co w czasie prosperity: około 7 miljardów złotych. I to, uważa się, jest w porządku — niech robią co chcą, byle ładnie wyglądały!

A były czasy, gdy szminki były niezwykle niepewne, ba wśród aktorów zdarzały się nawet wypadki śmierci. Pierwszy, który oparł fabrykację na naukowych podstawach był Leichner. Oto koło 1860 r. ten syn kupca z Mainz, był poprostu tenorem w Würzburgu. Niedosyć tego, bo ku oburzeniu rodziców ożenił się wbrew ich woli. Wyrzekli się go, tak że biedny synalek musiał zarabiać na życie, jako że gaża tenora absolutnie nie wystarczała. Przy pomocy żony zaczął fabrykować kosmetyki. Chcąc móc robić coś porządnego, zaczął się uczyć chemji, ulepszać fabrykaty tak, że w 1873 r. założył już w Berlinie pierwszą fabrykę. Umarł w 1912 r.

Nie dość jednak umieć zrobić sobie „make up", nie wystarczy umieć się ubrać! Trzeba umieć i rozebrać się — powiedziała sobie przedsiębiorcza Mrs Blackborn i założyła w lubiącej fachowość Ameryce „Szkołę rozbierania się". Łaknące tej wiedzy panie i panienki mogą na modelach uczyć się tam, a potem same próbować pod okiem surowej nauczycielki, jak z wdziękiem okazywać „dessous".

Wiosna to powrót jaskółek. Nie byłoby ich tyle, gdyby ludzkość przynajmniej na punkcie ochrony ptaszków nie połączyła się. Oto istnieje porozumienie, które zapewnia ratunek przedwcześnie zmęczonym, podczas zimowego odlotu, ptakom. Schwytane półmartwe istoty ładuje się i odstawia aeroplanami na południe!

„Wiośniany" wyrok wydał sędzia angielski w sprawie małżonków Grigg, którzy gwałtem chcieli się rozejść. Zgubą małżeństwa stała się podróż na Riwjerę. Pani podobali się płomienni Włosi, a pułkownik znów stanowczo przekładał mniej lub więcej wykwintne Francuzki, nad swą „prawowitą". Sędzia po rozpatrzeniu się w całokształcie orzekł: „Nie dam wam rozwodu, jako że żadne z was nie nadaje się do wejścia w nowe związki małżeńskie. Jesteście zepsuci i źli!" Mało co, a byłby dodał: „idź do piekła, boś ty brzydki!".

Wiosna dla pięknych pań, to przedewszystkiem kłopoty tualetowe. Zawsze tak było i będzie — wartoby wobec tego coś powiedzieć na temat różnych składowych „zbroi" kobiecej: gorset należy do przeszłości, ale — wbrew oczekiwaniu — nie był to tylko atrybut mody, to był także warunek skromności. Oto za czasów sufrażystek — dobrze przed wojną — na pewnym balu w Londynie pojawiła się taka śmiała lady, która miała odwagę nie włożyć gorsetu. Wyczuł to oczywiście zaraz pierwszy jej tancerz. I — niestety kroniki nie zanotowały imienia tego półgłówka — zamiast ucieszyć się, że nie ma pod ręką fiszbinów, spocił się biedactwo ze strachu i rozniósł po całej sali tę rewolucjonizującą nowość. Sprawa stała się głośną, ba nawet oparła się o sąd samego Edwarda VII. Ten człowiek kulturalny (i który widział wiele rzeczy!) wzruszył tylko ramionami: „Jeżeli kobiety tylko takiemi sposobami chcą walczyć o swe prawa, to absolutnie nie mam nic przeciwko temu"!

Rower dla pań był swego czasu skandalem, a gdy w 1885 r. pierwsza pani okazała się w spodniach — pumpach w małem miasteczku holenderskiem, zrobił się ruch jak nigdy. Poczciwy policjant ledwo nie zemdlał, a burmistrz błyskawicznie wydał srogi zakaz wpuszczania czegoś podobnego w bramy miasta.

Pantofelki też potrafiły być znamieniem rozluźnienia obyczajów: na five o'clocku w Wiedniu pokazała się w 1909 r. młoda panienka w pantofelkach zamiast w sznurowanych bucikach. Pani domu z oburzeniem spytała ją: „Cóż to moja droga, przychodzisz do mnie w nocnych pantoflach?!" Pantofelki jednak zdołały się utrzymać.

Kolorowe paznokcie przyszły do nas z Ameryki po wojnie. Złocone paznokietki były znane już za egipskich czasów. Jednak ta, co pierwsza wpadła na ten pomysł przypłaciła to życiem. Zazdrosna Kleopatra ułatwiła jej podróż w krainę cieni. Sama oczywiście w te pędy pozłociła sobie paznokcie, ale mimo tak odstraszającego przykładu nie długo cieszyła się monopolem — inne Egipcjanki powoli zaczęły ją naśladować i moda ta przetrwała długie wieki. Zresztą, dodam, niedawno odkopano stary grób młodej Germanki, która miała manicurowane paznokcie.

Ondulacje wynalazł w 1853 r. Marcel w Paryżu. Trwała ondulacja to znów podarek Ameryki — przyszedł do nas w 1920 r i z miejsca podbił nie tyle serca, ile główki kobiece. A kolorowe peruki, czy to pomysł ostatnich lat? Nic podobnego! Już Egipt je znał i elegantki Teb nosiły peruki zielone, czerwone i niebieskie. „Nihil novi sub sole!" Hennowanie włosów weszło w użycie w Rzymie po najeździe Germanów. Rzymianki, nie bez racji, zadecydowały, że rudozłote włosy, to bardzo twarzowa rzecz!

Szminki! Mój Boże! Najstarsze grobowce zawierają kubeczki z bielidłem i różem. Oczywiście i czernią do brwi.

Perfumy po raz drugi wróciły do Europy za Krzyżowców. Nie darmo tym wyprawom przypisują tak wielkie znaczenie.

Koszule to znów nowy stosunkowo wynalazek, bo do jakiego XV wieku nie były znane, a z początku tylko głowy koronowane je używały i to w ilościach umiarkowanych, jednej lub paru sztuk. W tymże czasie po raz pierwszy pokazuje się pierwsza chusteczka do nosa!

A skąd się wzięło słowo szyk? Z Francji. Oto jednym z ukochanych uczni Davida był młodziutki malarz André Chicque. Malował tak ślicznie, że David wziął go za miarę do oceniania prac innych swych uczni i mawiał o słabych pracach: „To nie Chicque!" Chicque umarł na ospę w 1788 r., ale nazwisko jego pozostało nadal w atelier Davida jako określenie czegoś ładnego, a po jego śmierci zapomniano o pochodzeniu i pierwotnem znaczeniu tego słowa i nadano mu znaczenie obecne.

Nie miło jest, jeżeli wiosna życia jest mącona komplikacjami. Przekonała się o tem młoda Atenka Georgette Massouli. Pierwszych kilkanaście lat żyje jako panna, nagle okazuje się potrzeba poddania się operacji i przemienienia na chłopca. Wykorzystuje to czemprędzej, by zaręczyć się ze swą przyjaciółką z lat dziecięcych. Ba, cóż, kiedy po paru miesiącach okazuje się konieczność powrotu — też w drodze operacji — do rodzaju żeńskiego. Oczywiście rozpacz wielka, zwłaszcza ze strony przyjaciółki, która zresztą, jak mówią, nie tyle martwi się zmianą płci, ile tem, że nie będzie się mógł odbyć ślub „en règle" Nie darmo rzecz dzieje się w Grecji...

Jerzy Dołęga Lewandowski.

ILUSTROWANY MAGAZYN TYGODNIOWY
WYDAWCA: SPÓŁKA WYDAWNICZA „KURYER" S. A.
REDAKTOR ODPOWIEDZIALNY: JAN STANKIEWICZ
KIEROWNIK LITERACKI: JULJUSZ LEO.
KIEROWNIK GRAFICZNY: JANUSZ MARJA BRZESKI.
ADRES REDAKCJI i ADMINISTRACJI: KRAKÓW, WIELOPOLE 1 (PAŁAC PRASY). - TEL. 150-60, 150-61, 150-62, 150-63, 150-64, 150-65, 150-66
KONTO P. K. O. KRAKÓW NR. 400.200.
PRZEKAZ ROZRACHUNKOWY Nr. 11 PRZEZ URZ. POCZT. KRAKÓW 2

AS

ILUSTROWANY MAGAZYN TYGODNIOWY
CENA NUMERU GROSZY 40
PRENUMERATA KWARTALNA 4 ZŁ. 50 GR.
CENY OGŁOSZEŃ: Wysokość kolumny 275 mm. — Szerokość kolumny 200 mm. — Strona dzieli się na 3 łamy, szerokość łamu 63 mm. Cała strona zł. 600 Pół strony zł. 300. 1 m. w 1 łamie 90 gr. Za ogłoszenie kolorowe doliczamy dodatkowo 50% za każdy kolor. prócz zasadniczego. Żadnych zastrzeżeń co do miejsca zamieszczenia ogłoszenia nie przyjmujemy

Numer 19 **Niedziela, 8 maja 1938** **Rok IV**



W ubiegłym tygodniu odbył się w Tiranie, stolicy Albanji, ślub króla Achmeda Zogu z hrabianką Geraldyną Apponyi. Uroczystości weselne upłynęły przy udziale licznych gości zagranicznych. Na zdjęciu para królewska w otoczeniu orszaku ślubnego przed wejściem do pałacu w Tiranie.

...S.O.S.- szukam towarzysza...











Na lewo od góry:
Miss Farquharson udziela wskazówek numerowi „38 R. M.". — Spotkanie z panem do towarzystwa „38 R. M." następuje w hallu hotelowym. — W oczekiwaniu na taksówkę, która zawiezie ich do restauracji. — Wybór odpowiedniego menu należy do reprezentanta biura „S. O. S.".
Zdjęcia: C. Anders — Paryż.

Emancypacja kobiet — temat do rozważań niezwykle bogaty — emocjonowała wiele społeczeństw na przestrzeni lat, przez które dojrzewała jako jeden z najciekawszych problemów socjalnych. Początkowa agitacja przedstawicielek płci słabszej o prawo do samodzielnego stanowienia o swem życiu, niepoważna w swych krzykliwych, jaskrawych formach, wyszydzanych przez humorystów całego świata, powoli przeradzała się w konsekwentne dążenie do równouprawnienia kobiet z mężczyznami na wszystkich polach twardej walki o chleb codzienny.

Jak długo problem ten obracał się dokoła spraw zarobkowych, hasła wygłaszane przez propagatorki nowego kierunku wychowania kobiet i zapewnienia im warunków samodzielnej pracy musiały być traktowane poważnie. Przyszła wielka wojna, której sile niszczycielskiej nie oparło się nic z tego, co dawniej ludzie uważali za niewzruszalne, święte i wypływające z wielowiekowej tradycji. W nowych powojennych warunkach problem emancypacji kobiet nietylko że dojrzał, ale co ważniejsze, wyrósł i tam, gdzie go się nikt przedtem nie spodziewał. Wyrósł i zatriumfował jako zjawisko, z którem nikt początkowo nie podjął walki, uznając, że „chyba tak być powinno".

Przewrót dokonał się gwałtownie w formach jaskrawych, które oślepiły ludzi z generacji przedwojennej i zamknęły im usta. Nowym poczynaniom młodych towarzyszy apatja starych, a ci tragedję, wynikającą z przykrych kontrastów chowają głęboko w sercu. Nowe pokolenie kobiet wyrasta w przeświadczeniu o pełnej swobodzie swego życia, regulowanego zasadami, które nie w każdym układzie sił społecznych są do przyjęcia. Stosunek kobiety do mężczyzny przeradza się w koleżeństwo, zatracając dawne cechy romantyzmu i wyzbywając się zróżniczkowania naturalnej współzależności płci. Ten przejaw emancypacji, jako sztuczny i pod wieloma względami nie odpowiadający potrzebom życia codziennego, stwarza też często sytuacje, w których kobieta musi się uciekać do pomocy specjalnych organizacyj, wykazując tem samem niezaradność i słabość swej płci. I jak przed laty, gdy wyszydzano pierwsze poczynania legjonu emancypantek, karykaturyzując je w roli pracownic szarego dnia roboczego, tak i dziś kobieta w nowej skórze znowu znalazła się na cenzurowanem. Żądło satyry rzadko jednak zwraca się przeciw swobodnym zasadom życia współczesnych kobiet, godząc raczej w pewne jego śmiesznostki, które pozostaną zawsze pochodnemi zjawiskami wypaczonej idei. Dlatego głos jednego z najtęższych socjologów amerykańskich, prof. Smitha, który niedawno temu poddał ostrej krytyce niektóre z form tego życia, wywołał w kołach feministycznych ten skutek, co kij wsadzony do mrowiska.

Posypały się liczne protesty ze wszystkich stron świata — opublikowano wiele na ten temat artykułów polemicznych. Nikt jednak z obrońców form życiowych dzisiejszych kobiet nie umiał się rozprawić z najsilniejszym argumentem prof. Smitha, który dowodził, że skoro kobieta doszła na drodze emancypacyjnej do zupełnej swobody, to nie powinna np. szukać sobie towarzysza na wieczór z pomocą organizacji, specjalnie się takiem pośrednictwem trudniącej, bo wówczas daje podobnem postępowaniem dowód, iż nie jest wystarczająco samodzielną, naturalnie w porównaniu z mężczyzną, zawsze znajdującym łatwe rozwiązanie w takiej trudnej sytuacji życiowej. W związku z tem dowodzeniem amerykańskiego uczonego świat zainteresował się istnieniem oryginalnych instytucyj, zrzeszających mężczyzn, którzy zawodowo trudnią się towarzyszeniem

samotnym kobietom. Rzecz prosta, iż przedsiębiorstwa te zyskały w ten sposób na reklamie i cieszą się powodzeniem, dawno nienotowanem. Ciekawem więc będzie i dla naszych Czytelników poznanie zasad, na których opierają one swój byt, jako naturalne zjawisko na drodze dzisiejszej kobiety z wielkiego świata.

Biura mężczyzn-przyzwoitek powstały w Stanach Zjednoczonych. Pierwsze z nich założył niejaki Ted Peckham, który w bujnem swem życiu imał się już różnych zawodów. Pewnego wieczoru, gdy stracił nadzieję dorobienia się fortuny i bez celu wałęsał się po Nowym Jorku, przystanął na Broadwayu przed jednym z renomowanych teatrów i zaczął obserwować tłum eleganckich kobiet, których zachowanie było niezwykle charakterystyczne. Każdy mógł spostrzec, że czuły się one z powodu swej samotności nieszczęśliwe, ale gdy jakiś mężczyzna usiłował nawiązać z niemi znajomość, odwracały się od niego z dumą i pogardą. I wówczas Ted Peckham zrozumiał, że stworzenie biura, któreby się zajęło zapewnieniem tym samotnym kobietom towarzystwa do teatru, na dancing, do restauracji itd., może mu przynieść fortunę. Zamieścił odpowiednie ogłoszenia w dziennikach i zaraz dostał tak wielką ilość zamówień, iż musiał dobrać sobie współpracowników. Z dnia na dzień organizacja pomysłowego Amerykanina rosła jak na drożdżach. Peckham nazwał ją „Guide Escort Service" i otworzył w innych miastach filje.

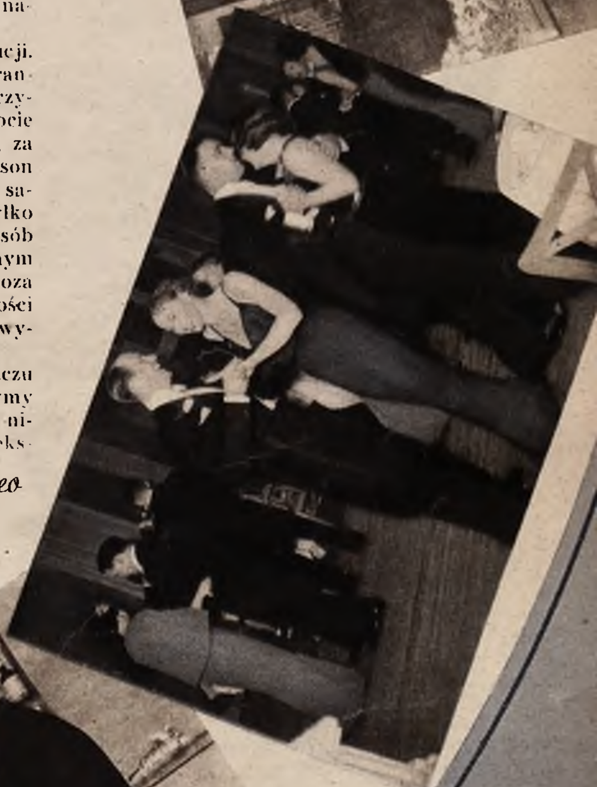
Teraz powstała dopiero walka konkurencyjna, bo znaleźli się liczni naśladowcy pomysłu Teda Peckhama i ci otwarli nowe biura. Organizacje zaczęły się zwalczać w analogiczny sposób, jak np. teatry, lub wytwórnie filmowe. Kto miał lepszy zespół mężczyzn-przyzwoitek, ten zwyciężał, mogąc dostarczyć wybrednym klientkom kogo tylko zapragnęły. Miał być autentyczny hrabia — był hrabia. Zatelefonowano po księcia — musiał być książę. Chodziło o sławę bokserską — wynajdywano i taki okaz. Jednem słowem starano się o załatwienie każdego zamówienia, gdyż dopiero wówczas firma nabierała rozgłosu i prosperowała.

W Europie jedynie Anglja i Francja mogą się wykazać istnieniem takiej instytucji. W Londynie i w Paryżu powstały biura mężczyzn-przyzwoitek, ale wyłącznie dla cudzoziemek, podróżujących samotnie i dlatego byt ich związany jest ściśle z napływem przybyszek z Nowego Świata. Każda Amerykanka, odwiedzająca Europę, musi po powrocie do kraju pochwalić się odpowiednią ilością znajomości, a te zawrzeć może najłatwiej za pośrednictwem biura „S. O. S.", funkcjonującem pod kierownictwem miss Farquharson w Londynie. Biuro to bowiem posiada wyjątkowy zespół mężczyzn do towarzyszenia samotnym damom. Rekrutują się oni z najlepszych sfer towarzystwa angielskiego i tylko zmuszeni warunkami życiowemi zdecydowali się na ten nie bardzo zaszczytny sposób zarobkowania. Oni to ułatwiają swym towarzyszkom dostęp do lokali, które w innym wypadku może nie tak łatwo otworzyłyby przed niemi swe ekskluzywne podwoje, a poza tem są towarzyszami, stojącymi pod względem prezencji i zachowania na wysokości zadania. Toteż taksa za wynajęcie takiego mężczyzny-przyzwoitki jest odpowiednio wysoka i mogą sobie na nią pozwolić tylko naprawdę bogate Amerykanki.

Przytoczywszy tych kilka wiadomości o organizacjach, które jak grzyby po deszczu wyrosły po wojnie na intensywnie uprawianej glebie emancypacji kobiet, ograniczymy się do uwagi, że na szczęście u nas powstawanie tych biur zostało uniemożliwione niskim standardem życiowym, który w żadnym wypadku nie pozwala na podobne ekstrawagancje.

Juliusz Leo





Poniżej od lewej:
W czasie rozmowy podczas pauzy w teatrze pan do towarzystwa musi zdać egzamin ze znajomości spraw teatralnych. — W barze znowu trzeba wybrać najodpowiedniejszy coctail. — Również i umiejętności taneczne muszą stać na odpowiedniej wyżynie. — A na zakończenie oryginalnego rendez-vous parę miłych słów i prosty shake-hand.
Zdjęcia: C. Anders — Paryż.







...owszem, będzie o 8 wieczór...



RYŚ V - ZBÓJNIK

Fot. inż. Ritter Batywla

Ryś V, zwany później „K r w a w y", pochodził z bardzo starego rodu Rysiów Karpackich — rodu, liczącego już przeszło 100 lat, boć jedną generację tych drapieżców liczy się na lat 20. Była to już piąta generacja w tych rozpadlinach górskich. Ojciec jego Ryś IV odznaczał się niezwykłą ostrożnością i chytrością, dzięki czemu uchodził wszelkim ludzkim zasadzkom i żelaznym pułapkom. Matka niemniej ostrożna. wydała już czwarte pokolenie, niestety dotychczas same córki. Ryś V był pierwszym męskim potomkiem i dlatego szczególną otaczany opieką. Przyszedł na świat w dalekim od ludzkich siedzib jarze, wśród przegniłych pni drzew, wiatrołomów i wielkich głazów, naniesionych tu z gór nawałnicami wiosennemi. W jarze rósł, w samym najciemniejszym zakątku stary, garbaty buk, pełen dziupli, jakby wymarzonych na „p i e l e s z n ą k o c i e r z", czyli na gniazdo. Pieleszną kocierzą nazwali myśliwi gnazdo rysie, jako że, po pierwsze, rysie należą do rodziny kotów, a powtóre, bo rysica otula swe małe mchami i listowiem, jakby pieluchami.

Ryś V urodził się z początkiem maja a poczęła go Rysica w lutym wśród niesamowitego warkotu i syków, kiedy na górach leżały śniegi...

Choć to może nieprzystojna rzecz mówić o bohaterze rzeczy ujemne, trzeba jednak powiedzieć, że nasz przyszły Zbójnik karpacki urodził się, jak zresztą i wszyscy jego bracia, zupełnie ślepym. ON, co potem umiał tak wspaniale widzieć wielkiemi, błyszczącemi ślepiami, nawet po nocy.

Teraz był jeszcze mały i nieporadny, a choć po 10 dniach uzyskał wzrok, mógł łatwo stać się ofiarą innych drapieżców, to też matka Rysica srodze mu zakazywała samotnych wycieczek z gniazda na ziemię, ba, nawet nie pozwalała wychylać się z dziupli, by jakowy kruk lub orzeł nie uszkodził jej jedynaka.

Narazie więc tylko wegetował. Powoli zaczęły mu wyrastać ładne, bardzo ostre pazury, w pysku pokazywały się „kęsy"-zęby i łapy poczęły tężeć.

Pewnego dnia, gdy matka poszła na łowy, skorzystał z okazji, wysunął łeb poza krawędź dziupli i zaczął się rozglądać po świecie. Co też to tam może być poza dziuplą? Nagle usłyszał cichutki pisk i coś smyrnęło po mchach... W ułamku sekundy zapomniał o przestrogach matki, sprężył się, odbił łapkami od brzegu dziupli i skoczył, jak piorun, na swą pierwszą ofiarę — mysz leśną. Ostre pazury wysunęły się, schwyciły mysz... trysnęła gorąca krew... Prainstynkt drapieżnika znalazł pierwszy raz zaspokojenie.

Matka Przyroda sprawiła mu teraz pierwszą suknię żółto-szarą, z włosów gęstych, długich, o koniuszkach białych, ozdobioną pięknie czarnemi plamami; uszy ozdobiła pęczkami czarnych, dość sztywnych włosków, a po obu stronach górnych warg dała mu rzadkie, jasne wąsy.

Od dnia pierwszych udanych łowów, chadzał Ryś V po kniei, ćwicząc się w skokach, wyłażeniu na drzewa i podchodzeniu zwierzyny, narazie jednak małemi mógł się poszczycić zdobyczami. Aż pewnego dnia spostrzegł bystremi ślepiami kierdel owiec, pasących się na hali. Przywarował na gałęzi, układając plan ataku. Zeskoczył na miękką murawę, przylgnął do ziemi i zaczął się czołgać bez szmeru ku owcom, bacząc pilnie, by wiatr wiał od nich ku niemu, a kiedy już był blisko, wdrapał się na dość grubą gałąź, zwisającą nad kierdelem i skoczył w sam środek.

Pierwszą owcę ścisnął potężnemi łapami, zdusił błyskawicznie i rozdarł pazurami. Całe ciało Rysia V drgało żądzą mordu, krew tryskająca z ofiary podniecała, rzucił się na drugą, trzecią i siał zniszczenie około siebie, mimo że dawno już głód zaspokoił. Bił na około, jak długo krew wrząca w nim się nie uspokoiła.

W tym dniu zdobył swe rycerskie ostrogi. Ojciec i Matka uznali go za uprawnionego i równego w łowach. Odtąd chadzali razem na zbójeckie wyprawy, a bohater nasz uczył się z doświadczenia ojca, jak omijać najniebezpieczniejszego wroga — człowieka i jeszcze niebezpieczniejszych żelaznych pułapek...

Bywały chwile, że nie tak łatwo było o pokarm. Wtedy Ryś V wdrapywał się na szczyty drzew wyniosłych i bystrym wzrokiem lustrował knieję, gdzie w ostojach żerują sarny i jelenie.

Ostatni rok był bardzo śnieżny, sarny zwłaszcza cierpiały na tem bardzo i nieraz, uwięzione w zaspach, ginęły z głodu. Wichry hulały po wierchach, mróz ściskał drzewa — sarny poczęły schodzić ku dołom, a za niemi sznurowały rysie.

Teraz był zawsze syty. Jego żądza mordu nigdy jeszcze nie była tak zaspokojona.

Leśniczy w tych rewirach stwierdził z przerażeniem, że pogłowie sarn bardzo mu maleje. Po rozdartej zwierzynie i tropach poznał odrazu, jaki to myśliwy niszczy mu sarny. Podchody i zasadzki nie na wiele się przydały. — Stary, doświadczony Ojciec Ryś IV umiał uniknąć swego wroga tj. leśniczego, zastawionych żelaznych pułapek i z całą swą rodziną pławił się we krwi ofiar, ile tylko mógł.

Nasz Ryś V, mimo ostrzeżeń ojca i matki, stawał się z dnia na dzień coraz zuchwalszy. Skradał się nawet pod samą leśniczówkę, jakby drwił z ludzkiej przemyślności.

Aż raz, kiedy trochę zelżało i sarny odeszły wyżej, a głód zaczął skręcać kiszki, zobaczył Ryś V między zwałami buków świeże mięso. Podkradł się bliżej, spekulował długo, przywarował i czekał cierpliwie, czy się ofiara nie ruszy. Nic. Podsunął się, ruszył wąsami, wreszcie wskoczył na pobliskie drzewo, nieufny. Przywarł całem ciałem do gałęzi i czekał. Nic nie drgnęło nawet w wykrocie. Sprężony do skoku, czekał cierpliwie. Godziny mijały za godzinami, mrok zaczął zapadać. Czekał. Wreszcie kiedy głód zaczął zbytnio dokuczać, odważył się na skok i jak błyskawica, spadł z odległości pięciu metrów na ofiarę...

W tej chwili szczęknęły ramiona żelaznego samotrzasku i bohater nasz, uwięziony za obie łapy tylne, znalazł się w niewoli i zginął.

Tak zginął ostatni męski potomek rodu Rysiów-Zbójników.

Kazimierz Szczepański.

KĄCIK FILATELISTYCZNY

Już nieraz zapytywali się nas Czytelnicy, jak postępować ze znaczkami niestemplowanemi, aby nie uszkodzić gumy. Problem ten jest aktualny zwłaszcza obecnie, gdy amatorów znaczków czystych jest coraz więcej i wymagania nasze, jeśli chodzi o jakość, są coraz bardziej wygórowane. Na wstępie trzeba rozstrzygnąć czy uszkodzenie gumy przez przylepienie do niej t. zw. podlepki jest faktycznie uszkodzeniem znaczka czy też nie?

Otóż w tym wypadku sprawę trzeba poprostu odwrócić: ze względu na to, że 99.9% zbieraczy ma znaczki przyklejone w albumie i tem samem owa „dziewiczość" gumy została już naruszona, przeto traktuje się owe egzemplarze jako pełnowartościowe, a zato za sztuki, których klej uchował się dotąd nietknięty, powinno się dopłacać pewien nieznaczny dodatek — luksusowy!

Jak jednak utrzymać ową bezwzględną czystość, gdy się chce mieć dany egzemplarz umieszczony w albumie? Są na to dwa sposoby: pierwszy system jest bardzo żmudny, daje jednak wspaniały efekt. Możliwy on jest tylko na kartkach kartonowych i polega na tem, że z kartonu tego samego gatunku co strona w albumie, wycina się „pole" na znaczek, o powierzchni mniejwięcej 3/4 mm dłuższej i szerszej od samego znaczka, którego brzegi pokrywa się tuszem. Następnie przykleja się (najlepiej syndetikonem) celofan do owego wycinka, w ten sposób, że zagina się celofan po odwrotnej stronie z trzech brzegów wycinka na szerokość mniejwięcej 5—7 mm, przy czwartym zaś (jednym z węższych brzegów wycinka) idzie brzeg celofanu równo z brzegiem kartonika. W ten sposób powstała niby malutka torebka, którą przykleja się bardzo silnie do kartki albumu na właściwe pole. Wypróbowano, że na ten cel nadaje się najlepiej pelikanol, iskrol, albo styx. Dopiero wówczas wsuwa się delikatnie znaczek do owej ramki, a celofan zmarszczony początkowo wskutek wilgoci, po kilku dniach wyprostowuje się zupełnie i leży gładko jak szyba, pod którą już bezpiecznie spoczywa znaczek.

Niema oczywiście mowy o tem, aby **cały** zbiór mógł być ułożony w ten sposób. A jednak jest to ideał, do którego dochodzą niektórzy zbieracze specjaliści, i można także niektóre kartki z najcenniejszemi egzemplarzami układać w ten sposób. Tego rodzaju „robótki ręczne" trudno jest opisać dokładnie, wszystko trzeba zobaczyć na własne oczy, by móc dokładnie naśladować i własne doświadczenie musi nauczyć każdego, choćby takiego głupstwa, jak się ma przyklejać celofan do wycinka kartonu, by leżał gładko lub co najważniejsze nie pękał.

Drugi sposób jest prostszy, szybszy w wykonaniu, możliwy do przeprowadzenia w albumach rozmaitych typów, ale wówczas nie widzimy tak dokładnie brzegów i ząbków znaczka na czarnem tle, jak w poprze-

(Dok. na st. 31-ej).



Najnowsze znaczki francuskie: Górny z widokiem największej warowni średniowiecznej we Francji, dolny obrazujący scenę z życia górników.

O MEBLACH STYLOWYCH



Polska komoda kolbuszowska z XVIII wieku.



Markiza w stylu Ludwika XV.

Na prawo: Szafka-sekretarzyk, prezentująca barok holenderski.

Przyglądając się otaczającym nas meblom, zauważamy przeważnie trzy ich odmiany. Przedewszystkiem tak zwane „nowoczesne", następnie te, które pamiętamy z domu naszych rodziców, czy dziadków — synonimem ich będzie przeważnie krzesło t. zw. „wiedeńskie", lub bogato rzeźbiony olbrzymi kredens i wreszcie wszystkie meble jeszcze starsze, krótko mówiąc: antyki. Meble „stare", liczące po 30, 50 lat, rażą nas swoimi wyszukanymi kształtami, ciemną barwą i brakiem racjonalnej konstrukcji. „Antyków" — przyznajmy to szczerze, nie rozumiemy. Trzeba być nielada znawcą, wybitnym amatorem, by odróżnić biurko w stylu Ludwika XVI, od biurka Louis XV, a tembardziej antyk autentyczny od tysięcy jego lepszych lub mniej udatnych naśladownictw, czy poprostu falsyfikatów. Z prawdziwym antykiem, gdyby się znalazł w naszym domu... nie wiedzielibyśmy co robić. Czy na takim drogocennym „Ludwiku" siadać, jak i na innych krzesłach, czy też ustawić w gablotce muzealnej na pokaz?

Wśród grona młodych architektów paryskich i amerykańskich zapanowała ostatnio oryginalna moda: urządzanie wnętrza mieszkania przy pomocy najnowszej konstrukcji mebli oraz antyków. W pewnym wypadku, urządzono pokój stołowy w sposób następujący: Na środku pokoju ustawiono bardzo „nowoczesny" stół na metalowych nogach i z dużym szklanym blatem, wokół zaś stołu stylowe krzesła „Ludwika XIV". Niewątpliwie musi to bardzo oryginalnie wyglądać. Pod warunkiem zachowania umiaru i dobrego smaku artystycznego — kombinacje takie są zupełnie możliwe w realizacji. W tym wypadku i antyki okazały się meblem użytecznym, a przytem pięknym i wartościowym.

Nagół jednak, posiadając antyki, używamy ich raczej do... dekoracji wnętrz. Spełniają rolę ornamentu, ozdoby naszego mieszkania. Pozatem zaś mogą być miłym drobiazgiem, o którym się myśli, przywiązuje doń i przez który łatwo nam trafić do ciekawych, jakże pouczających rozważań na temat historji mebla i sztuki stosowanej na przestrzeni ubiegłych stuleci...

Możnaby sądzić, iż niewielka ilość rodzajów mebli (krzesło, stół, szafa i kanapa), opracowanych przytem przez tysiące artystów w licznych stylach, doprowadzonych współcześnie do form, zdawałoby się idealnych, powinna wyczerpać nareszcie temat. Nic nieda się już tutaj zrobić, nic zmienić na jeszcze lepsze. Nie byłby to jednak wniosek słuszny. Obserwując historję mebla na przestrzeni ubiegłego tysiąclecia i wiedząc jak zawsze i niezmiennie kompozycja sprzętu stanowiła jedno z najbardziej pociągających zadań dla artysty, możemy być pewni że obecny wygląd mebla współczesnego nie będzie wzorem dla nowej mody lat następnych. Oczywiście mowa o tych meblach, które są wynikiem rzetelnej pracy artystycznej, w których tkwi choć odrobina ducha twórczego.

Dawne epoki sprzyjały rozwojowi niezliczonych form mebla od najprostszych do najbogatszych. Były to czasy, gdy poszukiwano i odkrywano nowe materjały do budowy mebla od taniego drzewa do wyszukanej intarsji, od obić skórą do adamaszku i pluszu. Nadewszystko jednak, na bogactwo stylów, form, kształtów, wpływał fakt, iż mebli nie fabrykowano seryjnie, „en masse", lecz wykonywano je pojedynczo na zamówienie możnych i według smaku artystycznego wykonawcy.

Dzieje mebla — gdyby je opisać od czasów najdawniejszych złożyłyby się na kilka tomów olbrzymiej monografji.

Piękne w kształcie, subtelne i wysoce artystyczne meble czasów Rzymu... Ciężka i poważna epoka romańska. Ciesiołka 12 i 13 stulecia. Meble epoki gotyku, niekiedy lekkie w proporcjach, wykwintne, niekiedy przeciążone balastem ozdób o formach czysto architektonicznych, nieodpowiednich i nie wiążących się logicznie z meblem.

Wiek XV wprowadza w meble elementy naturalistyczne, ozdabiając je bogatemi rzeźbami. Doprowadzi to wreszcie do tak szalonego rozwoju rzeźby na meblach, że pod ich





Na lewo: Szafeczka w stylu Ludwika Filipa z początku XIX wieku.



Konsola empirowa z 1800 r. i zegar pod szkłem w tymże stylu.

brzemieniem zaginie wogóle sam mebel i jego zasadnicza konstrukcja. Na sprzętach widać w tym okresie niezliczone ilości chimer. karjatyd, postaci ludzkich, masek etc.

Swoistą rewolucję wprowadzają czasy Ludwików XIII, XIV, XV i XVI. Powstaje wykwitny styl, jakby kobiecej, miękkiej kultury. Równocześnie zwrócono się do szlachetnych gatunków drzewa. Choć już Rzymianie lubowali się w pięknym materjale przy tworzeniu mebli, np. sprowadzano tuję w tym celu aż z gór Atlasu, to jednak dopiero z chwilą odkrycia krain podzwrotnikowych, skąd sprowadzono heban, mahoń, palisander, drzewo różane — meble zyskują nowe wartości i walory. Od wykładania mebli cienkiemi deszczułeczkami, tworząc w ten sposób drobne rysunki i ornamenty, doprowadzono za Ludwika XVI do precyzyjnej intarsji, to jest wzbogacenia mebla formalną mozajką, obrazami, arabeskami. Osiągnięto niezwykłe efekty, wprowadzając w intarsję szyldkret, masę perłową, mosiądz, cynę, srebro, kość słoniową (podziwu godna marketerja roboty André Charles Boulle — z lat 1642—1732). Dziś — pozostałością intarsji są forniery, t. zn. cieniutkie, maszynowo krajane deszczułki ze szlachetnego drzewa, któremi się okłada mebel, zrobiony z drzewa tańszego.

Epoki, kraje, artyści tworzyli niezliczone formy mebli. Z ważniejszych stylów nie wspomnianych wyżej, wywarły wpływ na historję mebla: barok, renesans, angielskie: chippendale, sheraton, hepplewhite, styl Marji Teresy, rococo, empire biedermajer, a także i słynne meble polskie z Kolbuszowj (w. XVIII). Wiek osiemnasty i pierwsza połowa stulecia XIX-go przyniosła bezprzykładne pomieszanie stylów i zamęt. Naśladownictwa, przeróbki dowolne, fałszowanie stylów i zabytków były na porządku dziennym. Wreszcie druga połowa XIX w. wnosi bezmyślny szablon mebli, fabrykowanych hurtem przez wielkie fabryki.

Na przełomie 19 i 20 wieku w historji meblarstwa następuje otrzeźwienie. Znana formułka genjalnego francuskiego archeologa Viollet-le-Duc'a brzmiąca: „Aby sprzęt zbytkowny miał cechy istotnej wielkości, trzeba, ażeby konstrukcja jego była jasna i prosta, a bogactwo osiągnięte nie przez wyszukane kombinacje, ale przez szerokie traktowanie całości, racjonalny rozkład części dekoracyjnych" — dała początek współczesnym prądom odrodzenia mebla.

Zainteresowali się meblami artyści, widząc tu szerokie pole do pracy. Stąd piękne nieraz wyniki, których współcześnie jesteśmy świadkami. Konstrukcję i zasady mebla nowoczesnego nieraz omawiano już na tych łamach, nie będę więc powracał do tematu. Zwrócę tylko uwagę na szczegół, poruszony na wstępie. Czy możemy uważać ewolucję mebla za ukończoną, czy choćby na dłuższy czas uregulowaną?

Stanowczo nie! Świat dźwiga się z kryzysu. Jedną z najprzykrzejszych bolączek minionych lat „chudych" był brak mieszkań. Nowe budownictwo — nazwiemy je optymistycznie — pokryzysowe, dąży do mieszkań obszernych, wygodnych. Pojawiają się próby budowania wielu dotychczas zdawałoby się niezbędnych mebli — wraz z mieszkaniem. to znaczy pomieszczenia szaf, bibljotek, nawet łóżek wprost w ścianach.

Coraz więcej będzie ludzi zamożnych, którzy stęsknieni za pięknem zamawiać będą meble u artystów — podobnie, jak to czyniono niemal powszechnie w stuleciach ubiegłych, gdy nie znano jeszcze mebli standartowych, fabrycznych. Wiele mebli zniknie wogóle z naszych nowych, obszernych i słonecznych mieszkań. Stworzy się na ich miejsce zapewne nowe, nieznane.

Meble — oto wiecznie nowy, wiecznie modny problem. Zdawałoby się, że najprostszy, bo nam najbliższy, a jakże w istocie barwny i — nierozwiązany....

Mgr. Roman Burzyński.



Gdański fotel rokokowy z XVIII wieku, wykazujący w linjach wpływy angielskie (po prawej) i polskie krzesło barokowe z XVII wieku.



Na lewo: Składany fotel „Savonarola" (pseudo renesans) i krzesło renesansowe (po prawej).

Poniżej: Meble biedermajerowskie z początku XIX wieku. Od lewej: Fotel typu rosyjskiego i kanapa typu niemieckiego.



Renegat

OPOWIADANIE

★

JAN WITOLD WOŁOWSKI

Pacyfikacja prowincji Tafilalet w południowem Maroku, przysparzała Legji wiele kłopotu.

Liczne bandy arabskie, które nie chciały złożyć broni i uznać protektoratu przeklętych „roumis" (Europejczyków), ścigane i tępione bezlitośnie przez nasze oddziały, przekroczyły granicę Rio del Oro.

Dowodzone przez zaślepionych fanatyzmem szeików, a często dezerterów z regimentów cudzoziemskich, wypadały na nasze tereny ze swych nowych stanowisk, uprawiając akcję dywersyjną.

Atakując prowizoryczne forty, w razie zdobycia któregoś z nich, nie oszczędzali nikogo z załogi. Mordowano okrutnie, skracając każdego Europejczyka o głowę, ku chwale Allaha i Mahometa, jako proroka.

Jednym z najgroźniejszych naszych przeciwników był dezerter Fischer. Kilka lat przed opisywanemi wypadkami przeszedł do Arabów z całym plutonem Niemców, zabierając ze sobą broń automatyczną i kompletny ekwipunek bojowy.

Dzięki swym zdolnościom organizacyjnym i wojskowym, z biegiem czasu zgrupował koło siebie kilka tysięcy strzelb arabskich. Imponując Arabom szaloną odwagą i nienawiścią, jaką pałał do „białych kepi", wybił się wkrótce na czoło partyzanckich wodzów. prześcigając ich w okrucieństwie. Ambicje i pragnienia Fischera były naprawdę godne wschodniego satrapy.

Krążyły o nim fantastyczne legendy. Cuda opowiadano o jego bogactwach i haremie, w którym miał porwane piękne kobiety europejskie. Najdziksze i najbardziej okrutne rzezie jemu tylko przypisywano.

Faktem było tylko, że był kiedyś sierżantem w Legji Cudzoziemskiej.

Ożenił się w Sidi-Bel-Abbes.

Pewnego razu, wracając ze służby, zakochany małżonek stwierdził, że jego kwaterę zajął ktoś inny.

Głupstwo kwatera... — ale sypialnia małżeńska była również okupowana. Co więcej, — jego własna żona znalazła się w ramionach oficera.

Strzelił!!

Sprawę zatuszowano ze względu na wyższe stanowisko uwodziciela. Fischera zdegradowano.

Napróżno szukał sprawiedliwości, napróżno przedstawiał wszystkim swą krzywdę. Wyrok utrzymano i jako zwykłego szeregowca wysłano go do Marokka.

Nie wytrzymał. Zdradził sztandar i jak wściekły pies począł kąsać swych dawnych braci i towarzyszy broni.

Staliśmy obozem w Tiferlanne, niedaleko wielkiej wsi arabskiej, opuszczonej zupełnie przez mieszkańców, którzy uciekli z cofającymi się przed nami partyzantami.

Od wschodu opieraliśmy się o pasmo skalistych wzgórz, nagich i niegościnnych. Przed nami czerwone ruiny kasby, punkt zborny szakali, hien i innej hołoty marokańskiej pustyni.

Z punktu widzenia strategicznego stanowisko było mocno nieodpowiednie, a to ze względu na tajemniczy gąszcz palm i krzewów oazy, położonej za kasbą.

Miało jednak dodatnią stronę.

Niedaleko ruin, w cieniu palm, uginających się pod obfitością złocistych owoców, biło źródełko, tworzące niewielką studzienkę, nikły strumyczek i mały kwadratowy stawek.

Oddziały nasze, składające się z kompanji strzelców i plutonu karabinów maszynowych, dowodził porucznik Galop, młody, ale doświadczony kolonjalny oficer. Kapitan już od miesiąca przebywał za strefą działań wojennych. Leczył się biedaczysko z paskudnego postrzału, otrzymanego z długiej marokańskiej strzelby.

Duch w szeregach nie był nadzwyczajny. Byliśmy wszyscy przemęczeni ciągłemi utarczkami i forsownemi marszami. Niedawno pogrzebaliśmy kilku poległych kamratów, a na dobitek w nocy z namiotu skradziono trzy karabiny, co groziło sądem wojennym właścicielom broni.

Wiedziano dobrze, że Arabowie potrafią po mistrzowsku kraść broń. W nocy północy wślizgiwali się mimo licznych straży do obozu.

Rano po takiej wizycie budził się legjonista, stwierdzając z przerażeniem, że karabin, który śpiąc tulił, jak najdroższą kochankę w ramionach, ulotnił się, jak kamfora.

Był rozkaz, ażeby podczas snu karabiny przywiązać do ręki specjalnymi łańcuszkami lub drutem.

Nie było więc żadnego tłumaczenia.

Otoczony murem obóz dawał jakie takie zabezpieczenie w razie ataku. Kulomioty ustawione na czterech rogach szczerzyły swe szybkogadające pyski w cichą pustkę.

Nabieraliśmy sił. Był to jednak odpoczynek, szarpiący nerwy. W nocy gnębiły nas częste alarmy. Czuliśmy instynktownie, że pod osłoną ciemności nietylko dzikie bestje krążą koło obozowiska.

Na odprawie podoficerów oznajmił dowódca, że niedawno obsadzony fort Foum-Giur, leżący poza nami w odległości conajmniej trzech dni marszu, został zaatakowany i zlikwidowany doszczętnie.

— Nie mówić o tem w plutonach! — powiedział krótko. — Może to źle podziałać na naszych przemęczonych chłopców.

Skinęliśmy poważnie głowami.

— Mój poruczniku! — odezwał się sierżant O'Brien — czyżby znowu ten drań...?

— Tak! To Fischer — odpowiedział ponuro dowódca. — Znowu się pokazał...

Zapadła cisza. Każdy starał się przypomnieć znajome twarze z fortu, twarze towarzyszy, których już nigdy nie zobaczy.

— Och dostać go w ręce! — zgrzytnął zębami szef plutonu karabinów maszynowych Kennigston. — Zapłacić odszczepieńcowi za tyle przelanej bratniej krwi.

— Zdwoić czujność! — pożegnał nas krótkim rozkazem Galop.

Wracając do namiotu, pociągnąłem za sobą przyjaciela.

— Jak się czujesz, Gaston?

— Marnie, bracie — odpowiedział przyjaciel. — Miałem znowu wczoraj atak febry, a tu w magazynie wina już prawie niema. Cholera...!

Uśmiechnąłem się, mówiąc:

— Nie lamentuj stary nicponiu! Lada dzień przyjdzie transport i przymaszerują posiłki. Będzie wino i... znowu będę cię musiał zastępować w służbie.

Spojrzał na mnie krzywo i rzucił ze złością niedopałek papierosa.

Wyciągnięty na garstce trawy, słuchałem złorzeczeń swego przyjaciela.

Siedział u wejścia do namiotu z podwiniętemi przed siebie nogami, skubiąc nerwowo niegoloną brodę.

Zachodzące słońce rzucało krwawy refleks na ruiny kasby odległej od nas o jakieś 300 metrów. *Dok. na str. 12-tej.*



IRENA BOROWSKA
jako Kora w Nocy „Listopadowej"
(Teatr Polski)

mówi:

...Oto część mej urody
straciłam na jesiennym wichrze
i na jesiennym chłodzie:
fala niesie po wodzie
moje złote kosztowne list...

Dokończenie ze str. 10-tej.

Nagle Gaston zerwał się jak oparzony.

— Ki djabeł? — odezwałem się. — Skorpjon cię ukąsił? Czy chcesz mi może namiot rozwalić?

— Patrz! — krzyknął. — Człowiek na wieży!

Skoczyłem i ja.

— Gdzie?

Wytężyłem oczy, zasłaniając je dłonią od krwawej słonecznej poświaty. Nie zobaczyłem niczego.

— Słuchaj Gaston, słuchaj mnie przyjacielu i weź chininę — rzekłem łagodnie. — Przyda ci się, gorączka przejdzie.

Szarpnął się gniewnie.

— To nie halucynacja! Widziałem sylwetkę człowieka. Naturalnie, że go teraz już niema.

— Chłopie! — powiedziałem z politowaniem. — Wiesz przecież, że w dzień kasba i okolica jest stale patrolowana. O tym czasie z obozu już nikt nie wychodzi. Za wcześnie na to, żeby tak bezczelnie pokazał się jakiś arabski pies.

— Chodź do dowódcy! — przynaglał Gaston.

Zgodziłem się, aczkolwiek niechętnie.

Galop zmarszczył brwi.

— Człowiek na wieży powiadacie?

Wzruszyłem ramionami.

— Gaston tak twierdzi...

Przez silne, polowe szkła porucznik długo obserwował popękane mury wsi arabskiej i ruiny minaretu.

— Tfu! — splunął wreszcie. — Niczego nie widzę. Nie dziwiłbym się, gdyby djabeł swej ciotce z tej wieży mówił dobranoc! Co za okolica. Na patrol nie pójdziecie... Już za późno. Może być jakaś zasadzka. Na wszelki wypadek zarządzam pogotowie.

W nocy leżąc ze swoimi chłopcami z bronią gotową do strzału i z granatami pod ręką, na linji biegnącej wzdłuż góry, nie widziałem końca swego nosa. Było ciemno, jak tylko w Afryce nieraz bywa.

Z daleka dolatywały naszczekiwania szakali, a raz jakieś niesamowite miauczenie z gąszczu oazy rozdarło ciszę nocną.

— To chyba pantera — szeptali chłopcy.

Oparty czołem o karabin, drzemałem.

Nagle otworzyłem szeroko oczy.

Z czarnej pustki leciały ku nam słowa:

— Kameraden! Każdy Niemiec, który zgłosi się do mnie, zostanie oficerem! Porzućcie szeregi francuskich świń! Fischer was wzywa!

Po niemiecku, psiakrew!!!

— Ognia! — wrzasnął tuż za naszymi plecyma Galop.

Tatatata — począł z pasją szczekać kulomiot.

Gdy brzebrzmiało echo strzałów, z kasby rozległ się szyderczy, niemal szatański śmiech...

Rano, prócz śladów kopyt końskich, nie zostało nic po nocnych gościach.

— Nie czuje się na siłach ten zbój, bo napewnoby nas zaatakował — mówiliśmy między sobą.

Następnej nocy, zmęczony dalekiem patrolowaniem, spałem smacznie w namiocie.

Nagle obudziłem się. Dokoła cisza, aż w uszach dzwoni.

Czemu jednak, do licha, obudziłem się? — pomyślałem, leżąc bez ruchu.

Poczułem nagle, że coś koło mnie nieznacznie ruszyło.

Trwożne myśli zaświtały w mózgu.

Wąż?... żmija?...

Karabin, leżący od strony płachty namiotowej, przygnieciony kolanem, zaczął drgać.

Zrozumiałem. — Karabin niema nóg, a więc ktoś go delikatnie wyciąga na zewnątrz, wygrzebawszy pod płachtą dziurę w piachu.

Rewolwer miałem pod głową. Bez poruszenia się trudno było go dosięgnąć.

Przy pasie miałem szturmowy obosieczny nóż.

Słysząc dokładnie bicie serca, bez szelestu wyciągnąłem nóż z pochwy.

Unosząc się cokolwiek z posłania, zacząłem chrapać.

Wreszcie kierując się instynktem, bo było całkiem ciemno, zmierzyłem w łapę, która ciągnęła broń.

Wreszcie uderzyłem, zrywając płachtę namiotu i przygniatając ciężarem ciała napastnika.

Zduszony jęk zlał się z moim krzykiem:

— Warta pod broń!

Plunął strzał karabinowy!

Po chwili z pomocą nadbiegłych towarzyszy ubezwładniłem wijącego się jak wąż Araba.

Był nagi, przepasany tylko na biodrach brudnemi łachmanami. Z dłoni spływała mu obficie krew.

Jednak trafiłem...

Obok, na piachu leżał długi, zakrzywiony sztylet...

Arab, którego mieliśmy w szeregach, począł badać jeńca.

Twardy był...! Ale nasz Achmed wziął się do niego po arabsku.

Nogi jego włożył w rozżarzone węgle!

Od tej pory stracił wszelkie łaski w mych oczach. Wydobył z niego prawdę. Jeniec był z oddziałów Fischera. Wyśpiewał wszystko...

— Ty go złapałeś? — powiedział rano Galop — to też tobie powierzam wykonanie egzekucji. Trzech ludzi wystarczy — dodał — szkoda na tego psa ładunków!

Nie udało mi się wykręcić od tej niemiłej funkcji.

Gruchnęły trzy strzały!

Długo po nocach prześladowały mnie błyszczące, dzikie oczy tego syna pustyni.

ZALESZCZYCKA WIOSNA







Oddawna już słyną Zaleszczyki jako najcieplejszy i najbardziej usłoneczniony zakątek Polski. Gdy w innych stronach kraju —wiosna walczy jeszcze z resztkami zimy i nieraz ustąpić musi pod naporem chłodów, to w Zaleszczykach przychodzi ona o kilka tygodni wcześniej, niż gdzieindziej. Warunki też klimatyczne Zaleszczyk sprawiają, że jest to nietylko chętnie odwiedzana miejscowość wypoczynkowa i rozrywkowa, ale także ważne uzdrowisko, zalecane we wielu przypadłościach chorobowych. Malownicze położenie nad wspaniałą rzeką, ciepło, bujna roślinność, liczne atrakcje sportowe i turystyczne itp. składają się na to, iż Zaleszczyki stanowią coraz większą atrakcję dla szerokiego ogółu kuracjuszów i turystów z całego kraju. Dogodne warunki pobytu, niskie ceny są także ważnemi zaletami tej pięknej miejscowości. Ilustracje nasze przedstawiają ogólny widok Zaleszczyk oraz kilka fragmentów uzdrowiska, a w szczególności: ratusz, kościół i cerkiew, tudzież kwitnące drzewa owocowe, tak charakterystyczne dla zaleszczyckiego sezonu wiosennego.



„La Fenice" ODŻYŁA!



Pożar budynku teatralnego w roku 1836, według współczesnego sztychu.

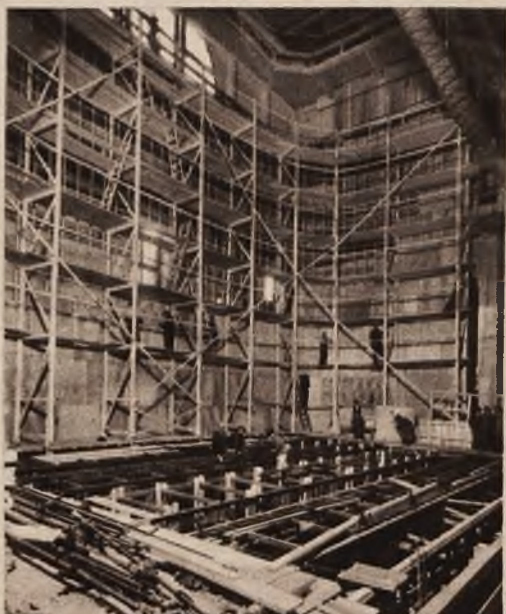
Tak jak Medjolan posiada swoją Scalę, tak jak Neapol swój San Carlo, tak Wenecja posiada „La Fenice". Ten słynny teatr, będący chlubą Miasta Lagun, został w tych dniach otwarty po radykalnej przebudowie, która nadała gmachowi niezwykłą piękność i wyposażenie techniczne, godne najnowszych czasów; to obecnie najnowocześniej urządzony teatr w Europie.

Początków teatru La Fenice należy szukać przed 150-ciu laty. W roku 1788 niezwykła, niewyczerpana pasja publiczności weneckiej do teatru i równocześnie banalny spór sądowy, urodziły jeden z najbardziej nastrojowych teatrów świata. Pewien dom patrycjuszowski, wyzuty z teatru San Benedetto, najznamienitszego z ówczesnych siedmiu teatrów weneckich, postanowił zbudować teatr, który byłby godzien stanąć na równi z najsłynniejszemi teatrami Włoch. Godnem dla tego gmachu miał być Feniks, bajeczne stworzenie, wzlatujące z popiołów, sens odradzającej się ciągle sztuki.

Konstrukcja gmachu, dzieło architekta Selva spotkał się z krytyką współczesnych. Krytyka była tak złośliwa, że wyryte na fasadzie gmachu słowo „Societas" tłumaczyła akrostychem: Sine ordine cum irregularitate erexit teatrum Antonius Selva.

Dostojną salę w stylu klasycyzującym zniszczył gwałtowny pożar w r. 1836, który oszczędził jedynie hall i sale Apollińskie. Bracia Meduna w siedmiu miesiącach wznieśli nową salę teatralną. Po 18-tu latach jeden z braci Meduna dokonał przebudowy sali i wycisnął na niej piętno „Ludwika Filipa"; pełno złoceń, bajecznych dekoracyj, znak wspaniałości i zaciszności zarazem, nieodłączne cechy teatru widowiskowego.

Dzieła i mistrzowie całego świata przeszli przez scenę „La Fenice", która jednak od lat wymagała przebudowy, zgodnej z duchem i techniką naszych czasów. Od 1 listopada ub. r. przy pracach restauracyjnych w tym teatrze pracowało 700 robotników dniem i nocą, wydając z siebie wysiłek 100.000 dni pracy. Kosztem 10 miljonów lirów podniesiono dach o 8 metrów wyżej, rozszerzono scenę i kulisy, zastosowano scenę mechaniczną; sceny mianowicie będą się podnosiły, zamiast, jak to bywa praktykowane przy wielkich scenach obrotowych, usuwać się w bok poziomo. Oddano do użytku nowe sale prób, garderoby indywidualne i zbiorowe i nawet włączono do gmachu magazyn dekoracyj bez zmiany wyrazu architektonicznego budynku. U wejścia do teatru ustawiono szereg kolumn i pilastrów, udostępniono wejście od strony wody. Kolor dominujący w sali teatralnej jest różowy; powtórzono go w aksamicie i w dywanach w lożach i krzesłach w stylu XVIII wieku. Różowy kolor znajdujemy również na świecach elektrycznych, zgrupowanych w niezliczonych kandelabrach na bokach i parapetach lóż.



Prace renowacyjne w teatrze w Wenecji.

Sezon teatru „La Fenice" nie tylko będzie obejmował dwa okresy operowe: wiosenny i karnawałowy (oba już tradycyjne w Wenecji), ale także do programu tego teatru włączono dwa cykle koncertów symfonicznych, na wiosnę i w jesieni, tudzież szereg rozmaitych widowisk. Rozszerzenie programu stoi w związku z organizacją międzynarodowych festivali muzycznych w Wenecji, które odbywają się tam co roku.

Wielki sezon operowy wiosenny rozpoczął się w tych dniach operą Verdiego „Don Carlos", po której nastąpią opery Wagnera, Straussa, Rossiniego, Donizettiego i Pizzettiego. Tak więc wielkiemu teatrowi weneckiemu przywrócono na nowo dawną i niezapomnianą świetność.

Gian Battista Scarpa (Wenecja)





Od lewej: Oto, jak sto lat temu, kiedy teatr „la Fenice" święcił największe triumfy, wyglądało jego wnętrze... — a tak przedstawia się sala odnowionego teatru w Wenecji za naszych czasów. Wszystkie zdjęcia: Foto Diacolly.

JAPONJA À LA FOURCHETTE.



Świątynia Suwa w Nagasaki.

Wjeżdżając na Daleki Wschód, musimy być przygotowani na to, że zwyczaje tam panujące, pewne urządzenia i wogóle to wszystko, co odnosi się do życia codziennego tamtejszych ludzi, będzie powodowało u nas niemniejsze zdziwienie od tego, które ogarnie np. Japończyka, po przyjeździe do Europy na widok tych, w jego pojęciu dziwactw, które my znowu popełniamy, jedząc widelcem, mieszkając w wielopiętrowych gmachach, zdejmując w garderobie teatralnej zamiast bucików — wierzchnie okrycie, siedząc zamiast na ziemi, na krzesłach itd. itd. To nasze zdziwienie rosnąć będzie w miarę poznawania tajemnic życia japońskiego, a niejednokrotnie zamieni się w bezradność, w okolicznościach, wśród których Japończyk wiedzie swój beztroski żywot.

Siedząc w wygodnym fotelu teatru podczas przedstawienia „Madame Butterfly", można ulec łatwo złudzeniu, że mieszkania japońskie, rozmiarami przypominające zabawki dziecinne, są wygodne i przyjemne. Można też pogodzić się z faktem chodzenia po takiem mieszkaniu bez bucików, które wymienia się u progu domu na pantofle, pozostawiając w ten sposób, poza obrębem domu, cały kurz i błoto, którego sporo jest w Tokio i w innych miastach Japonji. Ale na stałe nie są to wygody i zwyczaje dla ludzi Zachodu, wychowanych przy stole i krześle.

Byłby to dziwny cudzoziemiec, który zdejmując obowiązkowo obuwie przed wejściem do domu japońskiego, nie odczułby tego, jako uchybienie swej godności. Z równym powodzeniem, mógłby — gdyby to się dało — odśrubować i zostawić gdzieś w kącie swe nogi, które przy siadaniu na ziemi, zarzuconej stosem poduszek, zawadzają mu podobnie, jak zażenowanemu gimnazjaliście ręce przy pierwszych krokach w salonie. Takie siadanie na ziemi, to trudna wprost gimnastyka w powłóczystem kimonie, a cóż dopiero w starannie zaprasowanych spodniach.

Wracając do samych domów, musimy nadmienić, że materjał, z którego są budowane ściany mieszkań, to nie żaden żelazobeton, ale poprostu trzcina i papier. Ścianki te stanowią więc świetny pokarm, dla tak częstych w Japonji pożarów i trzęsień ziemi i nie są żadną izolacją, jeśli o hałas chodzi. Biada Europejczykowi, który zechce solidnie się wyspać w takim bambusowym domku, przenaczonym na zajazd lub pensjonat. W czasie nocy żadna ze ścianek nie będzie w stanie stłumić odgłosów z sąsiednich pokoi, które dotarłszy do kwatery Europejczyka spowodują jego obudzenie się i przybranie obronnej pozycji przed spodziewanym intruzem. Niech dwóch znajomych, śpiących w oddzielnych pokojach takiego pensjonatu zapuści się koło północy w jedną z tych nigdy nie kończących się na Wschodzie konwersacji, to wówczas nie tylko że cały pensjonat staje się mimowolnym świadkiem tej rozmowy, ale co ważniejsze, może ona nawet swą dynamiką obudzić mieszkańców sąsiednich domów. I jeśli turysta odwiedzający Japonję, przechodzi nad tem wszystkiem do porządku dziennego, nie mała w tem zasługa sprytnej i intensywnej propagandy turystyki w kraju Wschodzącego Słońca.

Trzeba przyznać, że Japonja na równi z Francją i Włochami jest państwem o najsprawniej i najskuteczniej funkcjonujących metodach, przyciągania podróżnych. Mimo wielu udogodnień, odwiedzający państwo Mikada muszą być przygotowani na znaczne trudności porozumienia się z tubylcami. Naogół bowiem Japończycy nie są dobrymi lingwistami i uczą się niechętnie obcych języków. Nauka angielskiego, obowiązkowa na wyższych uczelniach, nie wydaje pożądanych rezultatów. Wyjątek stanowią oczywiście wyższe sfery: arystokracja, dyplomacja, młodzież kształcona w Europie lub Ameryce, przedstawiciele handlu i przemysłu o koneksjach światowych itd.

Przeciętny jednak obywatel japoński, mający na nasze proste „ja" kwieciste słowo „watakushiwa", musi przejść syzyfowy trening, aby wykrztusić literę L. Wskutek tego, posługując się łamaną angielszczyzną, mówi, że: moskity powodują mararję, pociąg wjeżdża do tunenu, a w Nagasaki wybudowano nowy hoter.

Obcokrajowiec zdany jest na łaskę podręcznego słownika, ale i to nie rozwiązuje kwestji. Wypowiadając bowiem najprostsze słowo japońskie z małą choćby niedokładnością fonetyczną, może je do świtu powtarzać bez żadnych widoków na porozumienie się. W innym kraju wysiłki te byłyby uwieńczone pomyślnym skutkiem, choćby z pomocą mimiki i giestykulacji. W Japonji rzecz się przedstawia całkiem inaczej. Turysta nie umiejący po japońsku, a pragnący obrazowo wytłumaczyć w jakimś zajeździe, że chce spożyć np. jajecznicę, bierze do jednej ręki patelnię, do drugiej jajo i czyniąc ruch rozbijania go, zapala następnie zapałkę pod patelnią. Ta wymowna ilustracja przygotowywania jajecznicy, która w innych krajach łatwo będzie zrozumianą, tu powoduje zbiegowisko ludzi, zdumionych i rozbawionych, jakby patrzyli na jakieś widowisko cyrkowe i nie wykazujących ani cienia ochoty do zrozumienia intencyj turysty.

Trzeba jednak przyznać, że te trudności ustają z chwilą przekroczenia progów wspaniałego hotelu „Imperial" w Tokio. W restauracji tego hotelu częstymi gośćmi są rodowici Japończycy, ubrani według ostatniej naszej mody i zachowujący się przy stole po europejsku. Nie można tego powiedzieć o ich małżonkach lub córkach, które wyprawiają



Na lewo: Japończycy posługują się przy jedzeniu t. zw. „chop-sticks'ami".

Na prawo: Wnętrze japońskiego wagonu kolejowego.



cuda przy europejskiem menu. Może to właśnie jest przyczyną, że na uśmiech pod wąsem Japończyka, wywołany naszą niezaradnością w posługiwaniu się *„chop-sticks'ami"* (drewniane patyczki do jedzenia ryżu), odpowiadamy jeszcze szczerszym uśmiechem na widok filigranowych kobiet w pięknych kimonach, które nierzadko biorą do niewłaściwej ręki widelec i niemal z reguły posługują się jego odwrotną stroną. Pijąc herbatę, podtrzymują drugą ręką spód filiżanki w obawie, że jej uszko nie wytrzyma ciężaru płynu, obierają też owoce w ten sposób, jakby strugały ołówek, nożem, który niepewnie trzyma mała rączka, wreszcie usiłują bezwiednie, z przyzwyczajenia podsunąć pod siebie nogi na krześle, jakby siedziały na poduszkach na ziemi.

Japońskie środki komunikacyjne mają też swoje specyficzne oblicze. W miastach funkcjonują przedewszystkiem t. zw. *rick-she*, czyli małe dwukołowe pojazdy, ciągnione przez ludzi. Utrzymują się one głównie dzięki złemu stanowi ulic i wielkiej ilości prochu, względnie błota po deszczu. Europejczycy po pierwszem zaspokojeniu ciekawości doznają jednak przeważnie uczucia upokorzenia po przejażdżce w takim *„kuruma"* (po japońsku delikatniejsze określenie rickshy), bo uprawiający ten zawód tubylcy, to ludzie rozwinięci fizycznie słabiej od przeciętnego obcokrajowca. Cena i tempo jazdy rick-shą nie wytrzymują porównania z taksówkami i to też jest przyczyną, że klientela tych pojazdów rekrutuje się głównie z miejscowych, a modny obecnie w państwie Mikada slogan: „Japonja dla Japończyków" spotyka się w tym wypadku z aprobatą obcych.

Koleje, upaństwowione, funkcjonują punktualnie, a szybkość ich nie przekracza 50 kilometrów na godzinę. Wagony bardzo czyste, wszystkie dla palących, umywalnie wspólne dla obojga płci. Podróżny rzadko rusza w drogę z własnym zapasem prowiantów. Wie bowiem dobrze, że na licznych przystankach zaopatrzy się w świeże, a nie droższe niż w domu jedzenie. Metody traktowania pasażerów kolejowych jako objekty zdane na łaskę lub niełaskę zdzierstwa sprzedawców, które tak często obserwujemy w Europie i Ameryce, tu jeszcze nie dotarły. W chwili przyjazdu pociągu wybiegają na peron chłopcy w zielonych czapeczkach, wykrzykując: *„O-bento!"*, co po japońsku oznacza dużą drewnianą skrzynkę związaną papierową wstążką, a zawierającą: serwetkę papierową, nieodstępną wykałaczkę, patyczki do jedzenia w hermetycznem opakowaniu i następujące menu: przedewszystkiem ciepły ryż, nieodzowny dla Japończyków, kawałek ryby, spożywanej najchętniej na surowo, zimne mięso i jakieś miejscowe jarzyny, a na legominę najczęściej słodki omlet. Wszystko to za minimalną opłatą. Nietrudno więc w drodze zaspokoić najdzikszy nawet apetyt na przeciąg kilku godzin.

Odwrotna strona medalu kolei japońskich i początek tragedji Europejczyka o wielu aktach — to układanie się do snu w sleepingach, zbudowanych o tyle na wzór amerykański, że istnieje wspólna sypialnia w jednym wagonie, przedzielonym w środku wąskiem przejściem, po którego obu stronach, zasłonięte firankami zaściela się używane w dzień, a na noc porozsuwane siedzenia. Klasa I różni się od II-giej jedynie kolorem obicia kanapy i... zawartością portfelu jadących. Wiele z urządzeń na kolejach japońskich przywodzi znowu turyście na pamięć slogan: „Japonja dla Japończyków". Bo weźmy np. taki sleeping i oglądnijmy jego rozmiary. Doprawdy trudno się w nim zmieścić przeciętnemu „białemu" Koleje wąskotorowe rzucają pasażerami w obie strony, powodując, że na drodze przechodzącego z wagonu do wagonu ciągle coś sterczy. Wyjmując też rano szczoteczkę do zębów, wywołuje się niezbędnemi przytem ruchami już takie zamieszanie w przedziale, że wszyscy naokoło są deranżowani i niezadowoleni. Ubrania niema gdzie zawiesić, małe firanki nie dają dostatecznej zasłony dla rozbierających się, światło, palące się przez całą noc, razi w oczy, wreszcie nieustanne kowersacje wsiadających i wysiadających pasażerów połączone z trzaskaniem drzwi wagonów — wszystko to w żadnym razie nie przyczynia się do wypoczynku w drodze.



Barwne reklamy kin na ulicy w Nagoya.



Wnętrze przeciętnego hotelu japońskiego.



Zabudowania najpiękniejszej świątyni Kyoto.



W Japonji widzi się często ludzi przemęczonych, czyhających o każdej porze na sposobność drzemki.



A oto jak wygląda sala nowoczesnego dancingu w Tokio.

Japonja, od niepamiętnych czasów przyzwyczajona do ścian papierowych, złych łóżek i przeludnienia, nie zdaje sobie sprawy z korzyści i konieczności długiego i spokojnego snu. To też nic dziwnego, że na każdym kroku widzi się tam przemęczone i senne twarze ludzi, czyhających o każdej porze dnia na sposobność drzemki.

Obcy mogliby odrobić takie zaległości w śnie.... w japońskim teatrze — raz, że rozumieją mniej, niż Eskimos na walce byków, a po drugie dlatego, ponieważ takie przedstawienie trwa naprzykład od 2-giej w południe do 12-tej w nocy, a często nawet i dłużej. Nic w tem dziwnego: Japończycy są zapalonymi entuzjastami teatru. Etranger zagłądnie tam zwykle z ciekawości na chwilę koło godziny 8-ej wieczorem i dowiaduje się, że sztuka rozpoczęła się akurat przed czteroma godzinami i przeciągnie się do północy. Garderoba przepełniona jest setkami par butów, kaloszy, sandałów, pantofli, o które staczа się po przedstawieniu formalne walki. Podobnie, jak na stacjach kolejowych, tak i w teatrze służba roznosi jedzenie, nie powodując tem hałasu, który publiczności mógłby przeszkadzać w śledzeniu akcji sztuki. Największem powodzeniem cieszą się narodowe dramaty i legendy, znane nieomal od wieków, a zawsze słuchane z zaparciem oddechu. Akcja minimalna, przeważnie dialogi i sceny mimiczne, przyczem często role kobiece grają mężczyźni. Jakakolwiek zagraniczna sztuka, w której akcji rozwijałby się najniewinniejszy pod słońcem flirt, wywołałaby wśród tamtejszego audytorjum niewątpliwie burzę protestu i ogólne zgorszenie. Nieznający bowiem zwyczajów Zachodu, Japończyk spogląda już ze zdumieniem na uścisk ręki zamieniony między mężczyzną a kobietą. Najbardziej konwencjonalny pocałunek małżonków w miejscu publicznem jest tam nie do pomyślenia.

Japonki są poniekąd lekceważone i stoją w życiu na drugim planie. Podczas dłuższej jazdy pociągiem za dnia, Japończyk bez żenady przebiera się w obecności kobiet w przedziale w wygodne kimono. Odstąpienie kobiecie miejsca w tramwaju czy pociągu jest tam zjawiskiem niespotykanem. W Japonji kobieta nigdy nie usiądzie, dopóki mężczyźni nie zajmą miejsc. W ten sposób cudzoziemiec, wprowadzony po raz pierwszy do jakiegoś domu japońskiego, a posiadający manjery gentlemana w znaczeniu europejskiem, będzie musiał nolens volens wziąć udział w maratonie „stania".

Średnie warstwy ludności nie odznaczają się lotnością umysłu — mózg ich pracuje dość opieszale. Uczeni twierdzą, że właśnie to jest przyczyną, iż Japonja niema dobrych lotników — myśl nie może nadążyć motorowi, a ręce zamiast manipulować sterami, będą w nagłym momencie przerzucały stronice książki, objaśniającej, co w danej chwili należy uczynić. W Japonji zwięzłość np. języka angielskiego powoduje wielkie zdziwienie. Sami bowiem Japończycy lubują się w ogromnie długich okresach i teatralnej pozie, uwidaczniającej się w przeplataniu zdań niezliczoną ilością głębokich ukłonów. Grzeczność Japończyków jest przysłowiową. Gniew lub brak cierpliwości oznacza tam bardzo złe wychowanie. Życie traktują Japończycy bardzo poważnie, a patrjotyzm rozwinięty jest u nich do najwyższych granic.

P. W.

PIERWSZE ŚNIADANIE „DASYPELTIS SCABRA"



3



4



5



2



1

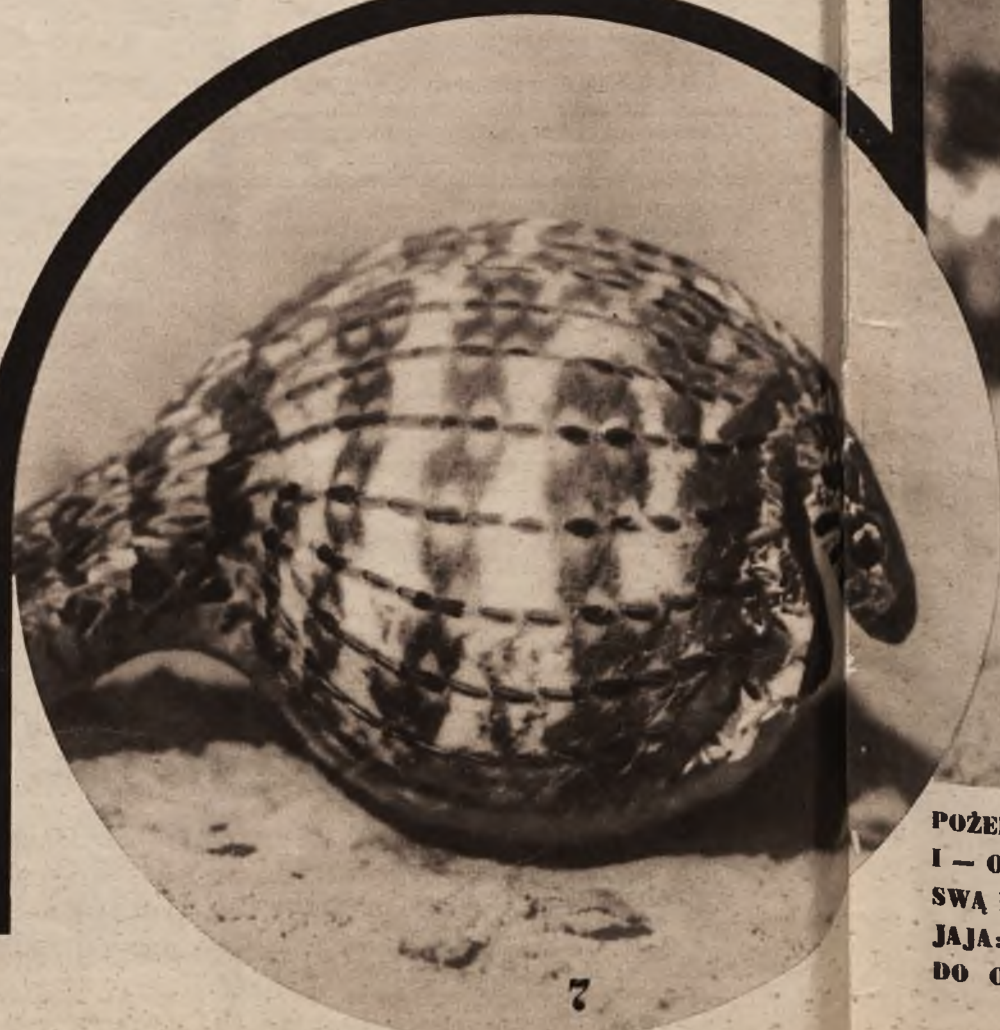
Ten niezwykle oryginalny wąż żyje w południowej i zachodniej Afryce. Wydaje się, jak gdyby był przeznaczony na to, aby plądrować gniazda ptasie i pożerać znajdujące się w nich jaja. Normalne zabarwienie „dasypeltis scabra" jest oliwkowo-brunatne, poznaczone czarnemi pierścieniami. Głowę posiada oznaczoną malowniczo wyglądającym znakiem w formie czarnego V. Spotyka się jednak także egzemplarze zupełnie czarne, podobnie jak wśród tygrysów malajskich.

Jest to niepokaźny stosunkowo wąż o długości około 80 cm, lecz mimo to potrafi przełykać jaja kurze, 4-krotnie większe, aniżeli jego głowa. Bo jeżeli pyton grubości ludzkiego ramienia przełyka świnię, nie jest to takie trudne, gdyż przedtem rozbija mięso na miazgę. Natomiast „dasypeltis scabra" bierze do paszczy całe jajo dzięki niezwykłej elastyczn[...] muskułów szczęk. Odbywa się to w ten sposób, że paszcza węża otwiera się tak szer[...] iż stanowi niejako pokrowiec jaja. Gdy już jajo znajdzie się między szczękami, zęby zaczynają wydzielać gryzącą, ciągliwą ciecz, która powoduje pęknięcie sko[...] lecz jajo pozostaje całe. Zawartość jaja wycieka do przełyku węża, który unosi [...] tułowia pionowo, aby ciecz należycie spłynęła. Wówczas dopiero wypluwa dobrze [...]ssaną skorupę i udaje się na nowe łowy.

Wybierając jaja, posługuje się „dasypeltis scabra" nie wzrokiem, lecz powonien[...] Zjada tylko jaja zupełnie świeże i raczej zginąłby z głodu, aniżeli miałby połknąć [...] nadpsute. Wąż ten jest szalenie łakomy i często zdarza się, że pokusi się o jajo [...]miernej wielkości. Nie mogąc wtłoczyć go do jamy ustnej, dusi się. Zdarza się to [...]częściej, gdy złakomi się na jajo indycze. Zaobserwowano, że w takich wypadkach [...] na głowie i nasadzie szvi „dasypeltis scabra" naciąga się do tego stopnia, że staj[...] cienka, jak papier.

W pewnej południowo-afrykańskiej farmie wężowej znaleziono zwłoki tego węża [...]jem indyczem w paszczęce. Rzecz ciekawa, że jakkolwiek skorupa jaja wykazywała [...] naruszenia zębami węża, nie pękła.

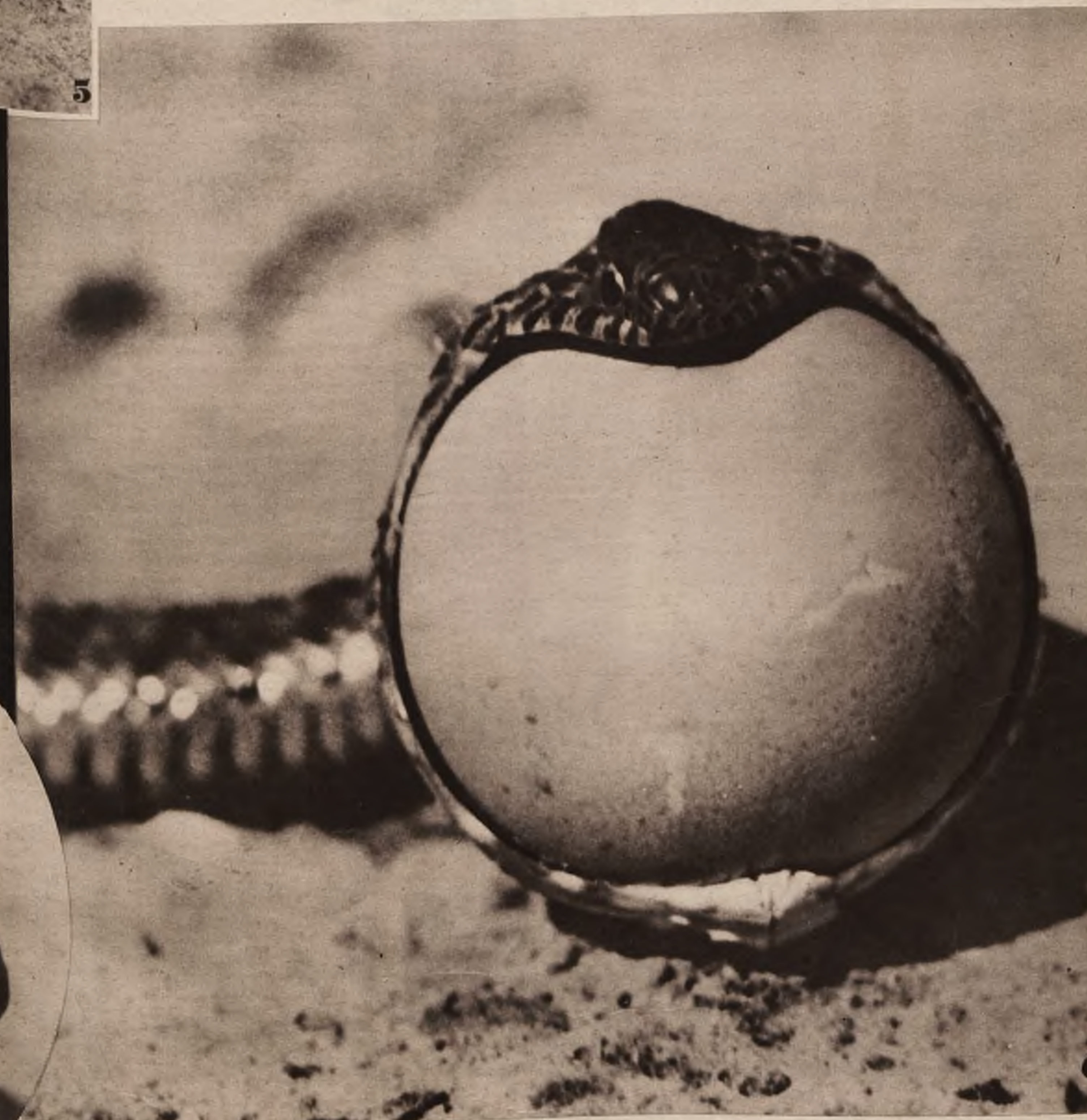
„Dasypeltis scabra" zjada także w braku świeżych jaj ptasich, jaja innych wężów [...] swego rodzaju kanibalizm uprawia jednak inaczej, aniżeli pożerając jaja ptaków; po[...] całe jajo chociażby największe, nie wyrzucając skorupy, która rozkłada się w prz[...]dzie pokarmowym węża i zostaje strawiona.



7



8



6

POŻERANIE PRZEZ WĘŻA „DASYPELTIS SCABRA" JAJA WIĘKSZEGO OD NIEGO SAMEGO, ODBYWA SIĘ POWOLI I — OCZYWIŚCIE — NIEZBYT ŁATWO, GDYŻ WĄŻ DŁUGOŚCI OKOŁO 80 CM. MUSI NIEZWYKLE SILNIE ROZSZERZYĆ SWĄ PASZCZĘ, BY OBJĄĆ JAJO. ILUSTRACJE NASZE OD NR. 1 DO 7 OBRAZUJĄ NAM POSZCZEGÓLNE FAZY POŁYKANIA JAJA: JAK WIDZIMY PASZCZA WĘŻA PO POŁKNIĘCIU POŻYWIENIA NIEBYWALE SIĘ ROZSZERZA I NAPIĘTA JEST DO OSTATECZNYCH GRANIC; PO CHWILI JEDNAK WĄŻ ZGNIATA SKORUPĘ, KTÓRĄ WYRZUCA, POŁKNĄWSZY ZAWARTOŚĆ JAJA (ZDJĘCIE 8).

Zdjęcia: C. Anders — Paryż

Konkurs Magazynu „As"
NA NAJPIĘKNIEJ ZASTAWIONY STÓŁ WIELKANOCNY



„Święcone Wilnianki" K. Krzywonosowa, Wilno.



Stół wielkanocny w domu emeryt. profesora gimnaz. Bron. Gawła w Sopotach — Wolne Miasto Gdańsk.



Stół wielkanocny — zdobny w kwiaty i owoce z godłem „Krak. I." z Żywca.



Ewunia Koziołkowska — z Łucka — przy święconem, urządzonem dla swych lalek.

Rozpisany przez nas przed świętami „Konkurs na najpiękniej zastawiony stół wielkanocny" spotkał się jak i w poprzednich latach z zainteresowaniem i życzliwem przyjęciem ze strony licznych Czytelników Magazynu „As". W warunkach tego Konkursu podaliśmy ,że termin ogłoszenia wyników wraz z podaniem wykazu przyznanych nagród nastąpi już w numerze „Asa" z daty 8 b. m. Tymczasem okazało się to dlatego nie do przeprowadzenia, ponieważ równocześnie zobowiązaliśmy się do zamieszczenia przedtem zdjęć stołów, a niektóre z nich nadeszły do naszej Redakcji dopiero w poniedziałek 2 b. m. jako wysłane w otatnim dniu (30 kwietnia) zakreślonego w warunkach czasokresu. Postanowiliśmy więc odłożyć rozstrzygnięcie Konkursu do chwili, gdy wszystkie zdjęcia stołów pojawią się na łamach „Asa" i dziś zamieszczamy dalszą ich serję.

Równocześnie podajemy raz jeszcze spis nagród dla tych Czytelniczek i Czytelników, którzy go przeoczyli w przedostatnim numerze „Asa":

I. Dwunastoosobowy serwis do białej kawy, wyrobu fabryki **„Ćmielów".**

II. Pled damski do podróży, wyrobu **Zakładów Przemysłowych Romana Żurowskiego w Leszczkowie.**

III. Szal damski jedwabny, wyrobu **Centralnej Doświadczalnej Stacji Jedwabniczej w Milanówku.**

IV. Pół kilowy flakon wody kwiatowej „Calendal" Molinarda, wyrobu firmy **K. et A. Miklaszewski, Kraków, ul. św. Filipa 3,**

oraz trzy nagrody pocieszenia: po dwie flaszki litrowe likierów „Chartreuse", „Mandarin Ginger" i „Apricot Brandy", wyrobu fabryki **A. Baczewski, Lwów.**

WŚRÓD PSIEJ ARYSTOKRACJI



Piękna pani jest często amatorką psów głównie dlatego, że przyczyniają się one do oryginalności jej sylwetki. Fot. d'Ora — Paryż.

Żadne chyba zwierzę domowe, z którem zrosła się historja człowieka, nie może się poszczycić taką różnorodnością ras, jak pies. Od pospolitego kundla do sybaryty pinczerka, wylegującego się na jedwabnych puchach, od jamniczka toczącego na krzywych nóżkach swój tłusty brzuszek do smigłonogich chartów, od lilipucich psich cacek, noszonych przez swe panie w zarękawkach do olbrzymich dogów i bernardynów, różnorodność jest nieskończona.

Istnienie rozlicznych ras psów datuje się od niepamiętnych czasów, o czem świadczą najwymowniej pamiątki z przeszłości najstarszych plemion ludzkich. Już pierwsze przebłyski kultury, wyrażające się w skalnych rysunkach, czy prymitywnych rzeźbach miały za model psa. Podobizny psa znajdujemy na freskach starożytnego Egiptu i Rzymu, a w starych kurchanach i mogiłach szkielety tych wiernych czworonogich przyjaciół, towarzyszących swym panom nawet po śmierci. Prawdopodobnie, od kiedy pies stał się towarzyszem człowieka, urabiał go pan stworzenia według swych upodobań i do pewnych celów, rozwijając w nim potrzebne mu zalety i cechy. Ponieważ pies stanowi bardzo podatny materjał do selekcji, powstały też na skutek rozmaitych krzyżowan różnorodne rasy.

Jedyną psią arystokracją, która w czystej formie swej rasy przetrwała do dnia dzisiejszego, to Pekińczyki, małe śmieszne pieski, z czarnemi kulkami oczek i nonszalancko skrzywioną mordką, święte pieski pałacowe chińskich cesarzy, znane na kilka wieków przed naszą erą. Swą czystość rasy zawdzięczają srogiemu prawu, wydanemu przez jednego z cesarzy, a które karało śmiercią każdego zuchwalca, któryby się ośmielił, poza pałacem cesarskim posiadać Pekińczyka. Dopiero po rewolucji chińskiej kilka okazów tych piesków dostało się do Anglji, która stała się wobec tego kolebką tej rasy w Europie.

W dzisiejszych czasach wytwarzanie nowych ras psów nie ustaje, dzięki kaprysom mody, która wymaga od tego zwierzęcia coraz to oryginalniejszych i ciekawszych cech zewnętrznych. Bo, co się tyczy wewnętrznych zalet psa, to też, mimo rozlicznych ewolucyj jego wyglądu, w niczem się nie zmieniły od stuleci. Pies był i pozostanie wiernym towarzyszem człowieka, ulubieńcem buduarowym i faworytem możnych tego świata. Ileż to psów przeszło w ten sposób do historji, ileż z nich było natchnieniem poetów i malarzy, ileż z tych mądrych i szlachetnych zwierząt spoczywa w specjalnie dla nich wybudowanych mauzoleach, a nawet w muzeach!



Na lewo: Słynna artystka filmowa Oliwja de Havilland ze swoim ulubionym ostrowłosym fox-terrierem, który, jak widzimy na zdjęciu, „kieruje" krokami swej pani.

Pięknie scharakteryzował wysokie zalety psa angielski poeta Byron, który dla swego ulubieńca nowofundlandczyka wystawił mauzoleum w ogrodach w Newstead Abbey z napisem:

„Tu spoczywają szczątki istoty, która posiadała piękno bez pychy, siłę bez fanfaronady, odwagę bez okrucieństwa i wszystkie zalety człowieka bez jego wad".

Wzruszająca jest pamięć, jaką po sobie pozostawił sławny na cały świat bernardyn Barry. Mądry ten pies uratował życie kilkudziesięciu zabłąkanym wśród śniegu i nocy turystom; toteż teraz wypchany zdobi krużganki klasztoru św. Bernarda na górze Mont Blanc.

Ale chyba najsławniejszym z piesków, które przeszły do historji, był mały ratlerek Raton, ulubieniec najpiękniejszej kobiety Francji XVII w., Ninon de Lenclos. Sławna ta piękność, która jak wiadomo, mając 80 lat jeszcze zdobywała niebywałym wdziękiem serca męskie, zawdzięczała swą wieczną młodość właśnie temu pieskowi. Raton stale towarzyszył swej pani przy posiłkach i już przy drugiem daniu warczał groźnie, a przy deserze rzucał się jak wściekły na swą panią, nie dając jej się objadać. Czyż mądry ratlerek, który obecnie wypchany paraduje w muzeum zoologicznem w Jardin des Plantes w Paryżu nie powinien stać się wzorem dla wszystkich piesków, których paniom tak zależy na modnej, smukłej linji?

Chociaż różne rasy psów znane były od wieków, niemniej celowa i racjonalna hodowla psów rasowych rozpoczęła się dopiero z końcem XIX wieku, pod wpływem pierwszych prac odkrywczych z tej dziedziny nauk przyrodniczych. Pierwszy Klub Miłośników Psa Rasowego, t. zw. Kennel Club powstaje w roku 1872 w Anglji. Za nią poszły dopiero Francja i Niemcy oraz inne narody.

Pod pojęciem rasy rozumieć należy zbiór cech i zalet, przekazywanych z rodziców na potomstwo. Hodowla zatem jest sztuką, której celem to nietylko utrzymanie, lecz i rozmnażanie pewnych pożądanych cech. W Anglji, która słynie ze specjalnego daru hodowania zwierząt, istnieją szkoły dla hodowców psów rasowych. Uczęszczają do nich rów-





Od lewej: Urocza para sky-terrierów p. Heddi Pate, stanowi „jasną stronę" tej rasy, podczas gdy ich pobratymcy (po prawej) reprezentują „czarne charaktery" rodu.



Jedną z licznych linij rodu terrierów stanowią Bedlington-terriery, których kilka uroczych egzemplarzy posiada znana sportsmenka, dyrektorowa Greta Syropowa (na zdjęciu).



Para oryginalnych i bardzo rasowych Kerry-blue-terrierów, importowanych z Anglji.



P. G. Syropowa z rasową trójką ostrowłosych fox-terrierów (środkowy zyskał w Polsce tytuł szampiona).

nież i prywatne osoby i to z najwyższych sfer towarzyskich, pragnąc zdobyć jak najwięcej wiadomości z zakresu racjonalnej pielęgnacji swych pupilów. Dziewczęta po ukończeniu tych kursów otrzymują tytuł: „Kennel Maid". Jest to rodzaj „psiego doktoratu", którym się chlubią młode Angielki z high-life'u.

Wogóle w Anglji zajmuje pies rasowy dominujące miejsce nietylko w życiu prywatnem, ale i społecznem. Nie ma rasy, któraby nie zrzeszała w setkach klubów tysięcy miłośników i hodowców. Liczne wzorowe hodowle, zakłady piękności, szpitale, pogotowia ratunkowe i przytułki dla bezdomnych psów stwarzają z Anglji istny raj na ziemi dla psiego rodu. Z przytułku można sobie wziąść pieska na wychowanie, ale przedtem trzeba podpisać deklarację, że piesek będzie miał należytą opiekę i odpowiednie warunki bytu. Kontrola sprawdza co pewien czas, czy nowy właściciel dotrzymuje przyjętych zobowiązań, w przeciwnym razie odbiera pupila.

Znaną w całym świecie jest czułość, z jaką do psów odnosi się londyński policeman. W najruchliwszym punkcie miasta zatrzyma cały ruch, jeśli przez jezdnię przechodzi pies. Nic też dziwnego, że Anglja ze swym kultem dla psa stała się kolebką najdroższych i naprzadszych ras, a zwłaszcza wszelkich odmian terrierów, jak Bedligton, Sealymhan, Highland, cairn, kerry-blue, black and tan, Yorkshire i wiele innych, u nas prawie nieznanych. Niemal wszystkie hodowle psów rasowych nie tylko w Europie, ale śmiało rzec można na całym świecie, zaopatrują się w wysokiej klasy reproduktorów u hodowców angielskich. Taki angielski arystokrata posiada rodowód, którayby zadowolił najzacieklejszego hitlerowca, gdyby chodziło o jego aryjskie pochodzenie, conajmniej do dziesiątego pokolenia. Ale też i cena takiego shampiona jest odpowiednio wysoka, idąca niejednokrotnie w dziesiątki tysięcy złotych.

Niemniejszemi względami i poszanowaniem cieszy się pies rasowy we Francji i w Niemczech, za któremi na dość dalekiem miejscu znajduje się dopiero Polska. Chociaż trzeba przyznać, że i u nas sport kynologiczny, czyli hodowla psa rasowego, zaczyna wchodzić na racjonalne tory. Zawdzięczyć to należy w pierwszym rzędzie założonemu w r. 1932 Polskiemu Związkowi Hodowców Psów Rasowych, który przez urządzanie wystaw, pokazów, konkursów piękności itp. imprez, oraz różne wydawnictwa i prowadzenie Księgi Rodowodowej, podniósł w dużej mierze znaczenie i stanowisko psa rasowego wśród naszego społeczeństwa, traktującego tę dziedzinę z niezrozumiałem lekceważeniem.

Powstają coraz to nowe hodowle tak psów użytkowych, jak i wyższych ras psiej arystokracji. Dzięki Polskiemu Związkowi Hodowców nasza „szlachta zaściankowa" — owczarki podhalańskie, jedyna czysto polska rasa, zaczyna coraz więcej wchodzić na europejski rynek handlu wymiennego, a nasi hodowcy owczarków są w stałym kontakcie z zagranicznemi hodowlami. Psy służbowe Straży Granicznej i Policji Państwowej posiadają swój nowocześnie urządzony Zakład Tresury Psów Granicznych, wybudowany w Rawie Ruskiej przez Skarb Państwa.

Żeby się dowiedzieć, jak wygląda instytut wychowawczy psiej arystokracji, zwiedzamy hodowlę drowej Syropowej w Warszawie, jednej z „Kennel-Maids", która swój zakład prowadzi ściśle według wzorów angielskich. Otóż te wszystkie pieszczochy buduarowe, wylegujące się na puchach, na pychane przez swe panie łakociami i smakołykami, prowadzą tu żywot iście spartański. Posegregowane według ras, wieku i płci w oddzielnych klatkach, śpią na gołej ziemi, conajwyżej wysypanej trocinami, jadają bardzo proste i niewyszukane potrawy, a nawet w myśl ostatnich haseł witaminowych, surowe jarzyny i owoce. Mają wyszkolone pielęgniarki, które je czeszą, kąpią, wyprowadzają co dwie godziny na spacer i uczą dobrych manier. Pieski są zato bardzo zdrowe, wesołe i mimo siedzenia w klatkach bardzo towarzyskie i łagodne. Między sobą żyją również w wielkiej zgodzie, nie gryzą się i nie pokazują groźnych kłów, jakby rozumiały, że przedstawicielom tak wysokich ras nie wypada zachowywać się jak ordynarnym kundlom. Jest przecież wśród nich i trójka najwyższej psiej arystokracji Bedlington-terrierów, tak podobnych z oblicza do naszych poczciwych owieczek, że możnaby podejrzewać, iż któraś tam z prababek zakochała się w zwykłym baranie, dalej przemiła rodzinka nie mniej drogocennych Sealyham-terrierów i duma zakładu, angielski szampion Kerry-Blue ze swą niemniej uroczą małżonką Bianką. A poza tem cała sfora rozkosznych urwisów ostrowłosych terrierów od małych, puszystych „bobasów", do wyskubanych, eleganckich młodzieńców z papą, polskim shampionem na czele.

Żyją sobie piękne pieski beztrosko i wesoło, nie przeczuwając, jak wielkie zadanie mają do spełnienia w swem życiu. Nadejdzie chwila, gdy będą musiały oddać swe serca ludziom, którzy z nich uczynią dozgonnych przyjaciół lub może tylko modne zabawki.

Zofja Ordyńska.



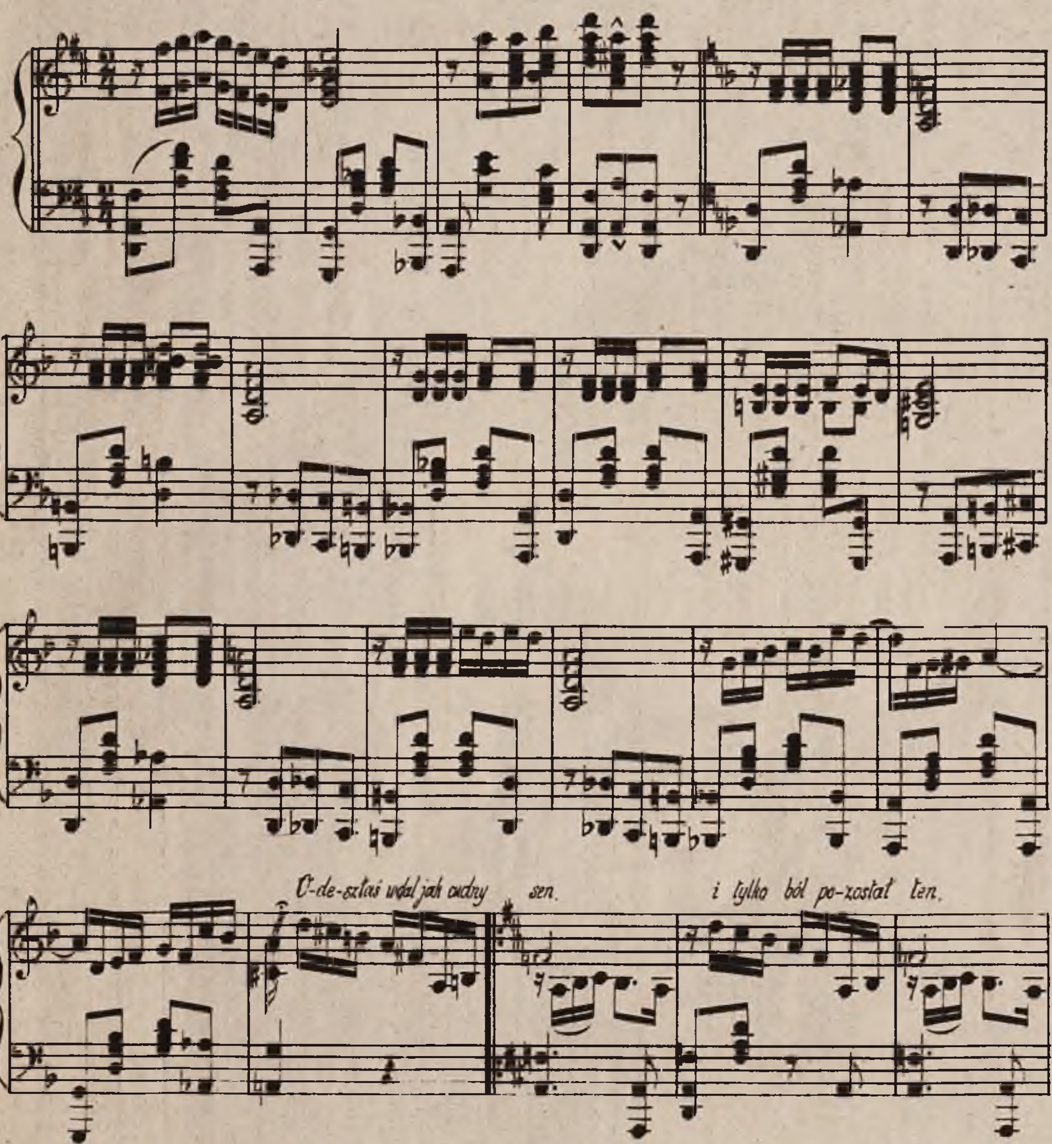
CHARTY NA ŁĄCE

FOT. SCHOSTAL

Odeszłaś w dal...

TANGO

SŁOWA I MUZYKA
JÓZEF WAGHALTER





MARTA i MARJA

NOWELA

ANTONINA TEODOROWICZ

Szła na tę nową lekcję z jakiemś dziwnem uczuciem. Było to coś pośredniego między strachem a niezrozumiałą, nagle powstającą radością.

Macie czasem uczucie w pewnej jakiejś najmniej odpowiedniej chwili, że właśnie dziś, dziś, za godzinę, za chwilę, stanie się coś! Coś, czego nie można określić. Ale stanie się napewno! Dobre, radosne, przejmujące monotonję szarych dni, wielkim powiewem Przygody.

To właśnie czuła Marta, gdy szła drobnym krokiem ulicami, pod dany numer. Nic było zresztą nic, coby uzasadniało to uczucie. Ot, nowa lekcja. Jak tyle innych, których przybywa z miesiąca na miesiąc. Pan Krystjan Roy, ulica Długa 80. Nic przecież. Imię i nazwisko, obce i nieuchwytne. A jednak czuje, że w myślach jej powstaje obraz stworzony do tych słów.

Krystjan Roy... Krystjan — jakie dziwne imię! Myśli, idąc. Dzisiaj nie nadają takich. Ma zapewne bardzo jasne włosy i oczy.... jakie?

Ach, osiemdziesiąty numer! Byłaby przegapiła! Gdy dzwonek tętni za drzwiami, czuje, jak serce bije jej nierówno i głośno. „Zmęczyłam się!" — tłumaczy zawsze czujna samoobrona, ale serce uderza wciąż nienormalnie szybko....

Gdy weszła do ciemnego przedpokoju, z początku nie widziała nic. Usłyszała tylko urwane tony fortepianu, potem jakieś drzwi otworzyły się. Mężczyzna podszedł do niej. Zapalił światło. Ukłonił się.

— Krystjan Roy. — Powiedział cicho. — Bardzo proszę dalej.... tędy. Mężczyzna? Nie, raczej chłopak. Chłopak o czarnych, prostych włosach, gładziutko uczesanych, odcinających mocno od bladego, wysokiego czoła. Miła, uśmiechnięta twarz o głęboko osadzonych, ciemnych oczach, z długiemi, jak u dziewczyny rzęsami. I uśmiech miły, świeży i młody. Krystjan! Więc taki jest? Właśnie taki?

Lekcja potoczyła się normalnie i spokojnie. Tylko wszystko wydało się Marcie dziwnie nierealne. To przecież nie była ona — ta stara panna o zaniedbanej twarzy i fryzurze. o czerwonych rękach i niezgrabnej, workowatej sukni. To nic było na — ten manekin, objaśniający znanemi słowami prawidła gramatyki francuskiej, z oczami wbitemi uparcie w otwartą książkę.

Łagodne światło stojącej lampy przy biurku rzucało pieszczące błyski na pochyloną ku niej bladą, młodzieńczą twarz. Uważnie śledziły ruch jej warg wpadnięte oczy, w których było coś jeszcze z urwisowskiego szelmostwa chłopca. Świeżemi wargami powtarzał za nią od czasu do czasu:

Jai, tu as, il a... — i wtedy z za warg wybłyskiwał nagle najśliczniejszy, błyszczący lśniąco ząbami uśmiech.

Gdy skończyli, manekin Marta chciała rzucić zwyczajne, suche „dowidzenia" i pójść. Ale nagle ta dziwna, nieznana dotychczas, istotna Marta d niej, wyciągnęła czerwoną rękę i powiedziała ciepłym głosem:

— Dowidzenia. I dziękuję, bo lekcja z panem posiada dużo uroku. Ma pan taki ładny akcent francuski... Czyta pan może jakieś francuskie książki?

— Niestety, nie mam ich. Inaczej czytałbym napewno. To tak pomaga!

— O, tak, bardzo! Ale jest na to rada. Niechże pan któregoś dnia przyjdzie do mnie, proszę, adres... Dostarczę ich panu bez miary! Dobrze?

— Och, tak, chętnie... ale...

— Poco zastrzeżenia? Jeżeli tylko ma pan ochotę, to czekam. A teraz dowidzenia!

— Dowidzenia. I bardzo dziękuję!

Drzwi zatrzasnęły się za nią. Stoi na pustym korytarzu i ma wrażenie, że oto nagle świat zmienił barwę. Wszystko jest jasne, wesołe i roztańczone. Nonsens! Jesteś głupia, stara baba! Mówi sobie dobitnie w duszy i schodząc ze schodów, nie czuje zwykłego łamania w kościach, a zwiędłe, suche usta, zwykle zaciśnięte w wąską linijkę, rozchylają się bezwiednie w ciepłym, zapomnianym uśmiechu.

Marja czeka na nią w domu. Jak codziennie, przez tyle lat, wita ją znany, dobrze zapach farb, więdnących kwiatów i przygotowanej na stole kolacji. Rozciera zziębnięte ręce. Brrr... zimno! Miło jest wrócić do tych dwóch ciepłych, maleńkich pokoików, zastawionych niezliczoną ilością starych mebli. Naprawdę, po raz niewiadomo który, zadaje sobie pytanie, w jaki sposób zdołały tutaj to wszystko pomieścić? Dawniej, tak ogromna ilość ginęła w olbrzymich pokojach rodzinnego domu. Lecz dziś?

— Dobry wieczór, Marjo!

Marja odpowiedziała skinieniem głowy i pendzla, trzymanego w ręce. Jak zwykle, nie oderwała oczu, by spojrzeć na wchodzącą Martę. Ale uśmiech zalśnił w jej dużych, ciemnych oczach, w których zdawał się palić niegasnący płomień. Przy tych wielkich oczach, drobna, nieznacznie poznaczona zmarszczkami twarz ginęła i zdawała się być jeszcze bledsza i mniejsza. Jak zaciśnięta pięść. Zakończona małym, zuchwale zadartym noskiem, zdawała się tchnąć cazadartym łagodnym, wszystko kryjącym uśmiechem. Marta zbliżyła się i zaglądnęła jej przez ramię.

— Co malujesz, Marjo?

Marja odsunęła się od stalug i uśmiechnęła się.

— Cóżby...? — wzruszyła ramionami.

Tak. Cóżby... jeżeli nie roztopiony w słońcu daleki horyzont i błękitne, nasycone niebem morze? Morze, morze, morze! We wszelkich odmianach: spienione, burzliwe, rozedrgane w słońcu, ciche i prawie nieruchome... I słońce!

Na obrazie słońce złociło małą zatoczkę, otoczoną skałami. Czuło się prawie, jak grzeje i wyzłaca każdy milimetr ziemi, każdą trawkę i drzewo. Nad wodą, pochylony, mały, półnagi chłopak o dziecinnej twarzy z wielkiemi oczami puszczał papierowe łódki. Marta przetarła oczy i nachyliła się bliżej.

Czy to możliwe? Halucynacja? Ten chłopiec... ta twarz...

— Skąd... skąd wzięłaś tego chłopca, Marjo?

— Chłopca? — Uśmiechnęła się Marja. — Ależ skądby? Poprostu, widzę go...

— Widzisz go! Tak, widzisz go! A czy wiesz, że...

Ale nie dokończyła. Spojrzały sobie w oczy głęboko, ponad zalanym słońcem obrazem. Ani jedna, ani druga, po raz pierwszy nie powiedziały sobie nic. Patrzały tylko chwilę na siebie, by zaraz odwrócić oczy bez uśmiechu, bez zrozumienia. Obce. Dalekie sobie.

— Dobranoc — mówi Marta pierwsza i zdejmując przy swem łóżku ciężką suknię myśli chaotycznie i nerwowo: Krystjan! Krystjan Roy! Skąd Marja...?

Ta twarz, te oczy, słodkie, chłopięce, chwilami poważnie męskie... Krystjan! Nagle rozbłysła gwiazda nad bardzo samotnem, bardzo cichem i znużonem sercem, które zatapia się w mrok.

— Dobranoc! — odpowiedziała Marja cicho. Postała jeszcze chwilę przed obrazem, oczami pogłaskała ciemną główkę chłopca.

— Chłopcze, mój mały chłopcze! — powiedziała mu myślami najczulej. Tyle nocy widziała go przed oczami! Wyczuwała tę ciemność skóry i włosów, głębię czarnych źrenic. Najdelikatniejsze dotknięcia pędzla wyczarowały najmilszą, stworzoną z głębi serca twarz. Był jej! Tylko jej, własny! Wrażliwémi palcami przesuwa po szpakowatych włosach i myśli, patrząc na niego z wdzięcznością, że jest dla niej pewnie ostatnią, ale słodką i doskonałą radością życia, które przecież... nie może jej już nic przynieść, prócz schodzenia w mrok...?

Gasząc światło, słyszy jeszcze, jak Marta mówi coś. Co ona mówi? Ach, tak. Że w tych dniach przyjdzie jej uczeń po książki... och, dobrze, dobrze, co ją to obchodzi właściwie? I czemu Marta ma taki zachrypły głos? — Potem zasypia z uśmiechem na ustach, podczas gdy Marta szeroko otwartemi oczami wpatruje się w ciemność i rogiem jaśka wyciera spływające po twarzy łzy.

Po kilku dniach Krystjan przypomniał sobie o danej obietnicy. Nie miał wprawdzie specjalnej ochoty iść do prywatnego mieszkania tej swojej nowej nauczycielki, ale wkońcu zdecydował się. Właśnie nie miał nic do roboty, ani wykładów, ani nauki, dzień był piękny, jakby wiosenny i kusił do wyjścia.

Zadowolony z siebie i życia, zaczepnemi oczami zahaczając mijane kobiety, przywędrował leniwie pod podany adres, i zapukał do drzwi według wskazówek małej, pięknie wykaligrafowanej kartki.

„Proszę pukać".

Za drzwiami była cisza. Zapukał mocniej. Tym razem lekkie, ciche kroki podeszły do drzwi.

— Ach! — Powiedziała Marja i zwykły uśmiech znikł z jej twarzy, by zaraz powrócić jeszcze promienniejszy i słodszy.

— Pan... w jakiej sprawie? Proszę!

Trochę niepewnie, zmieszany tem dziwnem spojrzeniem bezdennie czarnych oczu odpowiedział prędko:

— Ja... po książki. To jest, pani Marta była tak uprzejma, że...

— Ach, tak, tak! Ależ ślicznie! Proszę, niech pan wejdzie. Proszę uważać na głowę i nogi, jest tu tyle gratów na drodze, że nieznajomi przeważnie nabijają sobie sińce. Tak, tutaj proszę. Niech pan siada. O, tu, w tym fotelu pod oknem. Najwygodniejszy czcigodny mebel w tym domu.

Mówiła prędko, uśmiechnięta, aż cała jej miła, maleńka twarz zdawała się lśnić od tego uśmiechu. Nie odrywała przytem oczu od chłopca i Krystjan wciąż czuł to dziwne, niepewne uczucie pod wpływem jej spojrzenia. Nie było to niemiłe. Nie. Coś było w tych oczach co nawet głaskało mile jego męską dumę. Podobała mu się przytem. „Miła stara" — pomyślał w pewnej chwili łobuzersko i uśmiechnął się rozbrajającym uśmiechem młodego chłopca.

— Widzi pan, Marty niema. Ale przyjdzie za chwilę. Pan zaczeka chwileczkę, prawda? Ona ma tyle zajęcia! Jak pan się pewnie domyślił, jesteśmy siostrami. Mieszkamy sobie we dwójkę tutaj...

— Któraś z pań maluje, widzę? — zaciekawił się Krystjan.

— Tak. To ja. Jak pan widzi temat się powtarza: morze, morze! Ponieważ nie mogę pojechać tam, więc... Ale i tak jest dobrze. Lubię malować, uczyłam się długo, jeździłam do Włoch studjować starych mistrzów, pan wie? Ale to wszystko... — machnęła ręką lekko, nie kończąc.

— Piękne obrazy! — powiedział szczerze Krystjan, a twarz siedzącej naprzeciwko niego kobiety rozjaśniła się zadowoleniem.

Marja była szczęśliwa. Po raz pierwszy od dawnych czasów naprawdę szczęśliwa. Ten szczupły, chłopięco młody mężczyzna, którego twarz namalowała z własnych wizji, siedział teraz przed nią i rozmawiał swobod-

nie uśmiechnięty, podobny do chłopca z obrazu, jak bliźniak. Śledziła uważnie grę jego młodej twarzy, na której życie nie zaznaczyło jeszcze ani jednej zmarszczki. Taki, właśnie taki istniał w jej wyobraźni. Śmiałemi spojrzeniami, z radosną uwagą odgadywała pod ciemnem ubraniem smukłe, jeszcze trochę chłopięce ciało, o gładkiej, lśniącej skórze. Ta twarz, ani to ciało, nie były doskonale piękne. Wiedziała o tem. Ale było zuchwale młode, a oczy i usta kryły całą prawdę i tajemnicę pnącego się wgórę młodego drzewa. To był on! On — Piotr, daleki, stracony na zawsze, taki, jakim go pamiętała. Wiedziona nieodpartym impulsem, któremu uległa chętnie i odrazu pochyliła się wtył, zatopiła swe wielkie oczy w rozsłonecznionem oknie i powiedziała poprostu:

— Czy pan wie, że jest pan sobowtórem człowieka, który był dla mnie wszystkiem?

A widząc, że Krystjan zmieszany i nie wiedzący co powiedzieć zarumienił się mocno, ciągnęła prędko dalej:

— Tak, tak! Czy to dziwne, że mówię to panu? Jestem starą kobietą, mój drogi, tak, nie przecz, poco? Ale chcę ci powiedzieć, że i ja byłam młoda i nawet ładna, i gdy pojechałam do Włoch, spotkałam Piotra, wiesz? Był taki jak ty, tylko starszy. Bardziej... bardziej męski, nie gniewaj się! Ty mógłbyś być jego synem. Naszym synem, wiesz? Ale nasz synek umarł niestety, jeszcze zanim się urodził, a Piotr...

Piotr — dokończyła cicho — Piotr też odszedł. Ale przecież wiem, że spotkamy się. On jest ze mną zawsze. Mój mąż, który nigdy nim wobec ludzi nie był, ale który, który...

Spuściła głowę i spojrzała na chłopca. Siedział cicho i wpatrywał się w nią poważnemi oczami. Uśmiechnęła się do niego.

— Pan jest bardzo młody. Może pan tego jeszcze nie pojmuje... do głębi. Ale dobrze jest poznawać ludzi szczerych. Zresztą cóż, że pan będzie wiedział o tem? Pan, ze swoją twarzą Piotra, jest dla mnie... tak, jest pan dla mnie naszym miłym, cudownie odnalezionym synkiem.

— Ale dość tego! Oczy zrobiły się panu dwa razy większe ze zdumienia, a ja, stara baba rozwlekam przed panem dawne historje i mówię ni stąd, ni zowąd „ty". Prawda?

— Jest pani bardzo, bardzo miła! — Powiedział poważnie Krystjan i ująwszy jej białą, wąską rękę, pocałował ją delikatnie.

— Bardzo panią lubię...

Roześmiała się, przyłożyła palce do warg. W korytarzu trzasnęły drzwi.

— To Marta — rzekła.

Tak. To była Marta. Zdyszana, zgoniona Marta o surowej twarzy i znużonych bezmiernie oczach. Weszła, zobaczyła Krystjana i jej zniszczona twarz powlokła się przez moment ciemnym rumieńcem, a oczy rozbłysły. Chłopiec nie widział naturalnie nic, ale uśmiech znikł z ust Marji i oczy, nagle rozumiejące wszystko, ogarnęły siostrę długiem spojrzeniem.

Rozmawiali jeszcze chwilę, o byle czem. Krystjan najwidoczniej śpieszył się. Zabrał książki, umówił się na lekcję z Martą, myśląc przytem, że chętniej by to robił, gdyby to ta druga, miła pani o mądrym uśmiechu... Zamiast tej, panurej starej panny...

Ale nie zastanawiając się nad tem dłużej, pożegnał się prędko.

— Dowidzenia! — powiedziała z uśmiechem Marja.

— Dowidzenia panu... — rzekła Marta i zbyt długo przetrzymywała drżącą i wilgotną rękę w niechętnej dłoni chłopca.

Obie odprowadziły go do drzwi.

— Co malujesz Marjo?

— Co? Ach, co maluję? Ależ naturalnie, że Krystjanka! Cóżby!

— Jak ty o nim mówisz!?

— Jakto, jak? Poprostu, Krystjanek! Taki miły, mały Krystjanek.

— Nie rozumiem cię! — rzekła niechętnie Marta.

— Czemu? Czy dlatego, że jestem szczera? Że nie kryję się z wymawianiem imienia tak, jak na to mam ochotę? I że go maluję w stu różnych pozycjach? I, że całkiem poprostu mówię, że strasznie go lubię? Mało lubię! Kocham!

— Marjo!!

W tym okrzyku było tyle gniewu, że Marja przestała malować i spojrzała tam, gdzie Marta oparta o piec patrzyła bezmyślnie na trzymaną w ręce robotę. Spojrzała na nią niespokojnie i smutnie. Czy to była ta sama, zwyczajna Marta? Jej oczy wpadły jeszcze głębiej, przez co zmarszczki wokół nich wystąpiły wyraźniej. Usta, zgorzkniałe, surowe i zacięte, spierzchnięte były jak od ciągłej gorączki. A to jej spojrzenie dziwne, jakby wiecznie nieprzytomne, a takie płonące zewnętrznym ogniem! Ogniem, który zdawał się spalać całą jej postać dzień po dniu więcej... Marja westchnęła ciężko.

Tak, dla niej był Krystjan odnalezionem cudownie szczęściem. Dla Marty... Czy dla Marty nie był przypadkiem zbyt wielkim płomieniem, który palił tem więcej, że nigdy go nie zaznała i nie zazna już? Więc Marja odzywa się bardzo łagodnie i cicho:

— Czemu cię to oburza? Przecież wiesz że gdyby nasz syn, Pitra i mój, żył, kochałabym go. Czy miałabyś mi to za złe?

— Miałabym! Miałabym! — wybuchnęła nagle Marta z dziką złością. — Nieprawe dziecko, bękart! Wstyd i hańba! I to ty, ty, panna z dobrego domu — ty, zaślepiona, ogłupiała z miłości, poświęcająca siebie samą! Głupia byłaś, rozumiesz? Głupia! I cóż ci z tego przyszło? — Wstyd i męka! Na całe życie, na całe życie!

Krzyczała te słowa. Ustami, postacią, całą tłumioną latami nienawiścią do losu i życia. Jej ciało, nigdy nie dotknięte dłonią mężczyzny, jej usta nigdy nie całowane do krwi, do bólu... nienasycona, niezaspokojona kobieta w niej krzyczała teraz przeciw miłości! A przed zalanemi łzami żalu oczami migotała i kusiła blada, chłopięca twarz Krystjana, jego usta świeże i uśmiechnięte, jego ręce, obserwowane ukradkiem tyle razy, znane napamięć, stworzone do pieszczoty, do brania i dawania miłości!

To było całe niewypełnione życie. Cała tęsknota tylu lat, tylu nocy ostatnich, pełnych wahań i lęków i łez... W tym krzyku zmieściła całą siebie, bunt swój, kobiety, która nie zaznała miłości, przeciwko tej — tam, siostrze, która nie bała się jej poznać!

— Marto! — powiedziała cicho Marja, jakby do siebie tylko. — A może to nie była męka i wstyd, ale szczęście? Szczęście na całe życie? Spróbuj zrozumieć przecież, że... ale ty nie potrafisz, prawda? Nie potrafisz!

— Nie potrafię? Pewnie, że nie nie! Nie wydawałam się na poniewierkę! Nie zadawałam się z byle kim, jak ty! Jak ty, bezwstydna idjotko, zakochana na starość w... smarkaczu! Głupia dziewka! — wrzasnęła nieopanowanie.

— Marto! — powiedziała Marja i wstała. Pendzel upadł na podłogę. Nie powiedziała nic więcej, nie mogła. Stały naprzeciwko siebie wrogie, zmęczone, drżące... W oczach Marty lśniły łzy gniewu i uniesienia. Otarła je wierzchem ręki, jak chłopka, zacisnęła wargi gniewnie, ostro, i powiedziała szorstko, nie patrząc w stronę siostry:

— Mniejsza z tem. Dobranoc!

Po raz pierwszy od wielu lat Marja nie odpowiedziała jej nic.

I tak schodziły te dni niewypowiedzianie ciężko i prędko. Liczyły się i były ważne tylko te, kiedy Krystjan pukał do drzwi a potem rozsiadał się na „swoim" fotelu pod oknem. One naprzeciw niego. Spotykał ich oczy spoczywające na nim. Jedne lubił — te wielkie, lśniące oczy Marji, obejmujące jego twarz serdeczną pieszczotą. Natomiast, gdy napotykał oczy Marty, ponure, zdeterminowane oczy płonące gorączką, czuł wzbierającą w nim podświadomie niechęć i gniew. Nie lubił jej. Nie uświadamiał sobie wprawdzie, dlaczego? Ale te spojrzenia lgnące do niego, te ręce, zbyt długo przytrzymujące jego dłoń, ten przyśpieszony oddech za każdem zbliżeniem, odstręczały go od niej i wzbudzały głuchą niechęć. Natomiast lubił przebywać z Marją i z nieobliczalną bezmyślnością młodości, okazywał to jawnie na każdym kroku. Zresztą pochlebiało mu to wszystko: Te spojrzenia, pozowanie... Czuł się w tem zapchanem mieszkanku czemś najważniejszem, i jego bardzo młode serce mężczyzny rosło i pęczniało z nadmiaru ważności. To ja jestem! Ja!!

Ale prócz tego lubił te godziny spędzane na pożegnaniu. Miło i mądrze rozmawiała z nim Marja, a wzrok Marty palącemi dotknięciami chodził po jego twarzy i ciele To też przychodził często teraz, na godzinę, dwie.

Nie widział naturalnie nic z tego, co się działo na jego oczach. Były one zbyt młode, by mogły ujrzeć głębię, kryjącą się pod spojrzeniami obu kobiet. Nie widział też, jak po jego wyjściu uśmiech znikał z twarzy Marji i łagodne oczy z trwogą i smutkiem ukradkiem obserwowały siostrę. Miałaby ochotę spytać, wybadać, uleczyć... Ale Marta zamykała się w sobie. Nie można było przedrzeć maski jej surowej twarzy, spuszczonych głęboko powiek.

Więc przeważnie milczały. Marja przy obrazach, zatopiona we własne myśli. Marta w fotelu z głową opuszczoną nisko nad francuską książką. A milczenie coraz cięższe i bardziej duszące opadało na nie zwolna, przygniatało. Marja wzdychała teraz, gdy słyszała kroki siostry na schodach. — I dziś westchnęła głęboko.

— Ach, idzie już Marta!

Prędkiemi ruchami zdjęła ze stalug wykańczany obraz. Malowała go w tajemnicy, kradła godziny samotności, by skończyć go i żeby oczy Marty nie wyśledziły z pośród tylu innych, właśnie tego. Z ciepłym uśmiechem spoglądała jeszcze chwilę. Z ciemniejszego tła wysuwał się nagi, prosty i szczupły Krystjan, jeszcze trochę chłopięcy, o męskich, szerokich ramionach, lśniących białą skórą. Włożyła w ten obraz całą duszę.

Malowała go najczulszemi myślami o maleńkim, nieurodzonym synku, który byłby teraz właśnie taki sam, jak ten tutaj. Ciepły koloryt skóry, zdawał się promieniować życiem. Ale Marcie nie można było pokazywać tego. Mogłaby pomyśleć, że...

Szczęknęły drzwi. W ostatnim momencie schowała obraz i z bijącem sercem spojrzała na wchodzącą. Zauważyła, czy nie?

— Dzień dobry! — powiedziała obojętnie Marta. Swoim zwyczajem zacierając ręce, zbliżyła się wolno i powtórzyła głośniej:

— Dzień dobry! No, cóż masz taką minę? Stało się coś?

— Nieee... skąd!

Marta wzruszyła ramionami. W tej samej chwili niepewny głos siostry wzbudził w niej uczucie podejrzenia. Coś było nie w porządku! Wchodząc, zauważyła, jak Marja schowała coś szybkim ruchem, ale pocóż chowałaby jakiś obraz? Cóżby to mogło być?

Nieznacznie, podstępnie, krążyła wokół siedzącej siostry z zaciśniętemi ustami. Wśród stosu opartych o ścianę obrazów wystawał jeden nieporządnie wsunięty, większy. To ten! Palona niewypowiedzianą ciekawością, upatrzyła odpowiednią chwilę i gdy Marja odwróciła się, straszny, wściekły okrzyk uderzył w nią, jak grom.

— Ty bezwstydnico! Ty dziewko! — Krzyczała nieprzytomnie Marta, trzymając nieszczęsny akt w rękach. — Więc miałam rację! Więc posunęłaś się już do tego, że nie zważasz na nic! Doprowadziłaś do tego, że malujesz takie świństwa! Że ci nie wstyd, że nic już w tobie niema prócz bezwstydu, ty, ty... — Zachłysnęła się gniewem i słowami. Marja stała bez głosu, blada. Wiedziała, że na nic się nie zda tłumaczenie. Słuchała pozornie spokojna szalonego wybuchu Marty. Coraz gorsze słowa zalewały

Dokończenie na str. 31-ej.





„Corduroy" mają albo pasek już przyszyty, albo nosi się je z paskiem skórzanym.

ŁAMIGŁÓWKI MODY MĘSKIEJ:

BĘDZIEMY NOSIĆ SPODNIE „*Corduroy*"

Ubrania, noszone na codzień w mieście, wykazują stosunkowo tylko drobne odchylenia od form, skrystalizowanych przed laty, a dzieje się to dlatego, ponieważ przyzwyczailiśmy się uznawać konserwatyzm w tym dziale mody męskiej, jako naczelny postulat dobrze pojętej elegancji. Wprost przeciwnie rzecz ma się w odniesieniu do ubrań sportowych. Tu moda szuka wciąż nowych akcentów, dążąc z jednej strony do ożywienia stroju męskiego jako takiego, z drugiej zaś strony musi formy tych ubrań dostosowywać do różnych okoliczności, wytwarzanych przez sport. Jeśli więc przyjmiemy, że istnieje konieczność wprowadzenia do stroju męskiego śmielszych akcentów, na których nieraz buduje swe sukcesy moda kobieca, natenczas zrozumiemy, iż każda inowacja, skopjowana z wzorów najbardziej egzotycznych będzie dopiero wówczas zdolna do życia, gdy znajdzie w praktyce właściwe zastosowanie. Nieraz już można było zaobserwować fakt przyswajania sobie przez modę sportową wzorów, które istniały od dawna, wytworzone przez prymitywne warunki życiowe ludu. Zawsze w tych wypadkach chodziło przedewszystkiem nietyle o formę, ile o sam materjał, z którego dany strój był zestawiany. Przypomnimy choćby kanadyjskie „makinaw" i cowboyskie koszule, używane przez narciarzy. Obecnie przychodzi nam zanotować nowość w dziale letnich strojów sportowych, a polegającą na zużytkowaniu kortu, inaczej manchesterem zwanego, jako materjału na spodnie, noszone jeszcze w zeszłym roku z flaneli do jasnych marynarek lub koszul sportowych. Anglicy, którzy dużo podróżują, zobaczyli takie spodnie u cowboyów i przekonali się o ich praktyczności. Są one przedewszystkiem silne, jak stal i dlatego najodpowiedniejsze wszędzie tam, gdzie zachodzi niebezpieczeństwo szybkiego zniszczenia materjału. Sam kort — materjał jednobarwny o grubem prążkowaniu — posiada też charakter wybitnie sportowy.

Brummel

Na lewo: Noszone przez cowboy'ów spodnie z kortu, zwanego również manchesterem, wyrugowały, jako ostatni krzyk mody sportowej w tym sezonie, spodnie z flaneli, szewiotu i home-spunu. Model ten, zwany „corduroy", kombinuje się z specjalnemi koszulami sportowemi, a nawet z marynarkami z szewiotu lub home-spunu.



NOWOCZESNA KOSMETYKA



Chcesz być piękną?



Masaż policzków.

III.

MASAŻ TWARZY I SZYJI





Masaż szyji.

Celem, do którego dąży kosmetyka twarzy, jest doprowadzenie, względnie utrzymanie skóry w świeżym wyglądzie i tem napięciu, które cechuje młode twarze, a które znika w miarę lat, wtedy, gdy nie zastosowano środków konserwujących cerę. Jednym z nich jest masaż twarzy i szyji. Można go z powodzeniem stosować własnoręcznie bez oglądania się na pomoc drogich specjalistów. Ale raz zacząwszy, nie wolno przerywać systematycznego masażu pod groźbą przykrych istotnie następstw, w postaci zmarszczek, obwisania skóry itd., którym umiejętny, stały masaż doskonale przeciwdziała.

Jedną z przyczyn, dla których panie przeważnie nie uprawiają masażu, jest fakt, iż źle wykonywany, działa on niewątpliwie szkodliwie. Nauczenie się jednak zasad właściwego masażu nie jest bynajmniej sztuką tylko wtajemniczonych.

Masaż ma za cel pobudzenie krążenia krwi w mięśniach twarzy. Działa to na dokładniejsze odżywianie tkanki skórnej przez krew i utrzymuje ją we właściwem naprężeniu i świeżości.

Przed masażem należy oczyścić skórę twarzy i szyji wacikiem zwilżonym wodą,



Zmywanie twarzy przed masażem wodą tualetową.

wyciśniętym i napojonym lekko jakąś dobrą wodą tualetową. Teraz przystępujemy do masażu.

Bierze się trochę kremu na palce i opierając wielkie palce obu rąk pod brodą, masuje się policzki, pocierając je końcami palców w linjach ukośnych od dołu ku górze. Tym samym ruchem masuje się również czoło. Masaż trwa tak długo, aż policzki się mocno zaróżowią i pod wpływem szybszego krążenia krwi powstanie uczucie przypływającego ciepła w twarzy.

Wówczas należy nałożyć znowu krem na palce i masować w podobny sposób szyję ruchem idącym w górę po skośnej linji.

Na zakończenie należy zetrzeć delikatnie z twarzy i szyji pozostałe ewentualnie resztki tłuszczu, lekko przypudrować i udać się na spoczynek. Skutek już następnego ranka będzie widoczny, a po dłuższem stosowaniu masażu cera się rozjaśni, nabierze większej prężności i nie będzie się przyoblekać w papierową bladość, lecz przy lekkim rumieńcu będzie miała kolor zdrowego przepojonego krwią ciała.

Moda odsłaniających czoło kapeluszy kładzie szczególny akcent na pięknie modelowany owal twarzy i czoło. Chcąc w tych kapeluszach korzystnie wyglądać, można przez dwa odcienie pudru uzyskać bardzo dobry efekt: na czoło dajemy puder o jeden ton jaśniejszy od pudru na twarzy. Drobiazg ten bardzo dużo znaczy. Wogóle dwa odcienie pudru w użyciu na wiosnę jest konieczne. Im bardziej twarz pod wpływem słońca ciemnieje tem więcej dodajemy pudru ciemniejszego do używanego zazwyczaj odcienia. W ten sposób unikniemy niekorzystnej ewentualności ciemniejszego tła pod jaśniejszym pudrem.

Stosując masaż, można od czasu do czasu zaniechać na jeden dzień wszelkiego makijażu i posłużyć się tylko pudrem. Taki wypoczynek jest pożądany i zdrowy.

Elwira.





ŻYCIE

TOWARZYSKIE I ARTYSTYCZNE

ŚLUB CÓRKI PROF. WINCENTEGO WODZINOWSKIEGO



Kronika towarzyska Krakowa zanotowała ślub p. Wincentyny Wodzinowskiej, córki artysty-malarza prof. Wincentego Wodzinowskiego z p. Witoldem Sokołowskim, synem prof. U. J., który odbył się w ub. sobotę w kościele św. Florjana w Krakowie. Na ślub ten przybyła z Warszawy przyjaciółka Panny Młodej, znana artystka scen warszawskich p. Marja Modzelewska. Na zdjęciu: Młoda Para (1 i 2), prof. Wodzinowski (3), p. Modzelewska (4) i grono przyjaciół rodzin nowożeńców po ceremonji ślubnej. Fot. „As".

W. Ks. KIRA WYSZŁA ZAMĄŻ

W ub. poniedziałek odbył się w pałacu „Cäcilienhof" w Poczdamie ślub księcia Ludwika Ferdynanda, wnuka Wilhelma II z wielką księżniczką Kirą. — Na zdjęciu: Para nowożeńców.



JUBILEUSZ ARTYSTY



Ceniony artysta Teatru Polskiego w Poznaniu, p. Marjan Bogusławski, obchodził w dniu 6 bm. 30-lecie swej bogatej pracy artystycznej.

Z GODÓW RADZIWIŁŁOWSKICH

W artykule pod tym tytułem, zamieszczonym w poprzednim numerze „Asa", zakradł się błąd, który niniejszem prostujemy, podając, że imię Pana Młodego, syna żyjącego hr. Benedykta Tyszkiewicza, brzmi Benedykt Władysław, a nie, jak mylnie zostało wydrukowane, Dominik.

Z TEATRU WIELKIEGO WE LWOWIE

Występy znakomitej pary tancerzy: pp. Miły Kołpikówny i Eugenjusza Paplińskiego w operetce „Rose Marie" na deskach Teatru Wielkiego we Lwowie cieszą się zasłużonem powodzeniem.



„FEDRA" RACINE'A NA SCENIE KRAKOWSKIEJ



Teatr krakowski wystawił w inscenizacji i reżyserji dyr. Karola Frycza „Fedrę" Racine'a w przekładzie Tadeusza Żeleńskiego (Boya). Arcydzieło Racine'a rzadko ukazuje się na scenie i niegrane było w Krakowie przez lat 70. Rola tytułowa Fedry należy do najtrudniejszych w repertuarze światowym i jest zawsze przedmiotem ambicji największych artystek. W Krakowie rolę tę gra p. Zofja Jaroszewska, która stwarza świetną kreację. Na zdjęciu: jedna ze scen sztuki pomiędzy Fedrą — p. Jaroszewską, a Enona, znakomicie graną przez p. Antoninę Klońską.

Wzorzyste suknie zwiastują nadchodzące lato...



Zawsze lubiane jedwabie w grochy nadają się doskonale na letnie komplety. — Aplikacje i duży kwiat z białej piki, to nowość tegorocznej mody. Fot. Imre v. Santho.





W tym roku wzorzyste materjały pojawiły się już wraz z modą wiosenną. Wielkie firmy paryskie zaprezentowały modele sukien i kompletów z przybraniami deseniowemi: widzieliśmy podszycia płaszczy i szarfy przy sukniach z barwnych jedwabi w szkocką kratę, wiosenne kostjumy z żakietami w pasy lub kraty, wykończenia przy sukniach jednobarwnych z wzorzystych jedwabi. Ale nie można porównać tych pierwszych, nieśmiałych występów z istną orgją barw i wzorów, jakiemi olśni nas moda letnia.

W dziedzinie jedwabi „imprimés", wszystko właściwie jest modne: pasy, kratki, klasyczne pepity i śmiałe, bardzo duże kraty, zawiłe geometryczne wzory obok malarskich tkanin w kwiaty, liście, pączki, motyle, stylizowane ptaki i fantazyjne linearne meandry. Zarzucono natomiast dziwaczne, realistyczne wzory, zapomocą których usiłowano w zeszłym roku wyzwolić się z szablonu dotychczasowych motywów.

Już nie będziemy odziewać się w imbryki, kolekcje zagranicznych marek, korowody małpek, muszek i piesków, które do niedawna ekscentryczna moda malowała na letnich tkaninach. Przekonano się, że dla artystycznej stylizacji motywów geometrycznych czy roślinnych, zawsze jest otwarte dostatecznie obszerne pole, bez uciekania się do cudacznych dziwactw w tym jedynie celu, aby wymyśleć coś nowego. Tegoroczne wzory stoją pod znakiem fantazji, korygowanej dobrym smakiem i poczuciem umiaru. Sięgnięto natomiast do nowych zestawień kolorystycznych z jednej strony, z drugiej do połączenia wzorów roślinnych z motywami geometrycznemi. Girlandy kwiatów układają się na ciemnem tle w regularne pasy, barwne kwiaty

Na lewo: Do letniego, granatowego płaszcza nosimy jaśniejsze suknie z jedwabiu w modną ukośną kratę. — Model: Molyneux 1938.



Na lewo: Suknia popołudniowa z jedwabiu o wzorze kwiatowym, przedzielonym poprzecznemi pasami.
Fot. Imre v. Santho.

przybierają często postać regularnych kół. Ulubione od lat na letnie materjały kropki, święcą w tym roku swój triumf. Obok drobniejszych motywów kwiatowych i geometrycznych, są one najchętniej używane na suknie i komplety przedpołudniowe.

Modne w tym roku suknie dwuczęściowe, złożone z plisowanej przeważnie spódniczki i kazaku, spowodowały powrót do mody wzorzystych jedwabi z szerokiemi szlakami, nadającemi się doskonale do przybrania dolnego brzegu kazaku i spódniczki.

Na suknie popołudniowe nadają się najlepiej jedwabne krepy w większe wzory kwiatowe lub linearne. Kombinuje się je jednak zawsze z jednobarwnemi dodatkami, aby uniknąć wrażenia zbyt wielkiej jaskrawości: lekki czarny lub granatowy płaszczyk, kapelusz, rękawiczki i buciki, stonują najśmielszy wzór i najfantastyczniejsze kombinacje kolorów.

Wszystkie niemal wzory są modne, byle były estetyczne w barwie i deseniu, a ten postulat nie zawsze dostatecznie spełniają nasze krajowe „imprimés" Wartoby, aby nasi fabrykanci jedwabi posługiwali się prawdziwie artystycznemi projektami, komponowanemi przez artystów specjalistów w dekoracji tekstylnej, tak, jak to czynią ich zagraniczni konkurenci.

Nie ulega wątpliwości, że w dziedzinie mody wogóle, a szczególnie w kompozycji wzorów materjałów, artyści mogą stworzyć rzeczy godne uwagi i zasługujące na miano „kreacji".

Lady Like



PRZEPISY

odnoszące się do naszego kalendarzyka — obliczone na 3—4 osoby.

PODAWANIE SAŁATY. W ostatnich kilku zestawieniach „7 dni dobrej gospodyni", świadomie nie umieszczałam w żadnem menu obiadowem sałaty zielonej, jako dodatku do dań mięsnych. Na tegoczesnym stole, **zielona sałata** powinna stale figurować i to nie jako dodatek do mięsa, lecz jako **danie dla siebie.** Przyprawa sałaty zielonej, którą higjeniści zalecają, jako regulatorkę soków trawiennych, a temsamem przemiany materji, powinna być jak najmniej skomplikowana. Troszkę soku cytrynowego, szczypta soli i cukru — to wszystko. Łyżka oliwy lub kwaśnej śmietany ostatecznie, może być wybredniejszym dozwolona, natomiast o jak najskrupulatniejszem płukaniu **w bieżącej** wodzie nie śmie się nigdy zapomnieć.

ZUPA ŚMIETANOWA Z MAKARONEM. Z 1—2 jaj i troszki wody oraz mąki. zagniata się ciasto dość tęgie. następnie wałkuje cienko i po przesuszeniu kraje w szerszy makaron taki, jak do masła. Litr wody osolonej zagotowuje się, wsypuje makaron, zagotowuje, a kiedy spłynie, dolewa się do wszystkiego 1/4 litra kwaśnej śmietany, miesza i natychmiast wydaje do wazy, dosypując dla aromatu łyżkę świeżego koperku.

SOS SZCZAWIOWY nadaje się do wszelkiego rodzaju kotletów i budyni jarskic oraz potraw z ziemniaków. Sporządza się go w następujący sposób: 15 dkg szczawiu, obranego dusi się z 3 dkg masła przez chwilę, następnie przeciera przez sito. Przetarty szczaw zagotowuje sie ponownie. podprawia ósemką śmietany. rozkłóconej z łyżką mąki, dodaje szczyptę soli i cukru, ewentualnie, o ile sos za gęsty. trochę mleka lub wody.

SAŁATA WIOSENNA. Liście sałaty głowiastej, garstkę młodego szpinaku i szczawiu, wewnętrzne drobne listki rzodkiewki, pęczek szczypiórku, zielonej pietruszki i kopru, płócze się pod wodą płynącą z kranu i osusza na czystej ściereczce. Całą tę zieleninkę kraje się równo i zaprawia na salaterce sosem, sporządzonym z octu wzgl. soku cytrynowego, oliwy, soli i cukru. Wierzch sałatki przybiera sie czerwoną rzodkiewką i plasterkami twardego jaja.

POTRAWA Z ZIEMNIAKÓW I GRZYBÓW. 10 dkg pieczarek, cienko poszatkowanych, dusi się na maśle z cebulką. Pół kilograma ziemniaków, obranych z łupki, kraje się w grubsze plasterki, parzy wrzącą wodą, odlewa i nalawszy je gorącą wodą, gotuje. Niezupełnie dogotowane ziemniaki odcedza się z wody, miesza z grzybkami, dodaje 1/4 l śmietany, rozkłóconej z 2-ma jajami i małą łyżeczką soli oraz szczyptą białego pieprzu, daje wszystko do rynki. natartej masłem i wstawia do gorącego piecyka, na 30—40 minut. W miejsce pieczarek użyć można suszonych grzybów, moczonych przez 12 godzin w mleku.

PUREE Z MARCHWI W OMLETACH. Wczesną wiosną, kiedy młode jarzyny nie każdemu domowi są dostępne, można ze starej marchwi sporządzić przez dobrą przyprawę wcale smaczne danie. W tym celu należy marchew, tzw. karotkę bardzo dokładnie oskrobać, szybko wymyć, nie mocząc jej długo, następnie gotować pokrajaną w małej ilości słabo posolonej wody. Ugotowaną przeciera się, podprawia łyżką masła i kilkoma łyżkami słodkiej śmietanki, poprósza mąką, dodaje łyżkę cukru i o ile potrzeba soli, zagotowuje i wydaje otoczoną krokietkami z bułki lub ryżu. W ten sam sposób sporządzić można purée z selerów z tą różnicą że do wody, w której mają być gotowane, dodać należy soku cytrynowego lub octu.

LEGUMINA CHLEBOWA. Chleb ciemny razowy, pokrajany cienko, suszy się w piecyku, następnie miele i przeciera. Na szklankę chleba bierze się 6 żółtek, uciera je z tyluż łyżkami cukru i łyżeczką cynamonu, z dwoma tłuczonemi miałko gwoździkami, dodaje 3 dkg roztopionego masła, naprzemian po łyżce, wkońcu pianę z 6 białek i zmielony chleb. Masę nakłada się do formy, natartej masłem i wysypanej bułeczką i piecze w niezbyt gorącym piecyku. Przestudzoną leguminę podaje się z bitą, kwaśną śmietaną słodzoną.

STRUDEL Z RABARBARU. Z 25 dkg mąki, łyżki masła i osolonej letniej wody (bez jaja) wybija się dość wolne ciasto; wybijać należy przez dłuższą chwilę, aby się ciasto dobrze ciągnęło. Ciasto nakrywa się ogrzaną miseczką i pozostawia je przez pół godziny w spokoju. W międzyczasie kraje się w cienkie płatki dobrze wymyty rabarbar (bez obierania łupki), zalewa go wrzącą wodą i osącza na sicie. Rozciągnięte cienko ciasto strudlowe kropi się masłem i posypuje smażoną bułeczką, nakłada plasterki rabarbaru, posypuje suto cukrem, zmieszanym z cynamonem, rozrzuca grudki konfitur róży lub pomarańczy, następnie zwija, układa w brytwance, kropi suto masłem i piecze około godzinę w dobrze nagrzanym piecyku. Przestudzony strudel kraje się i wydaje posypany miałkim cukrem z cynamonem lub wanilją.

BEZY Z CZEKOLADOWEMI LODAMI. Okrągłe bezy (najlepiej kupne, w domu się nie udają), napełnia się następującą masą: 4 żółtka, 1/4 litra mleka, 12 dkg cukru i 10 dkg tartej czekolady z wanilją, ubija się na parze na gęsty krem, który się następnie zamraża w maszynce do lodów. Bezy napełnia się oczywiście tuż przed podaniem. W braku maszynki do lodów można dodać do kremu 2 łyżeczki mąki. Po ubiciu na parze krem będzie tak gęsty, że można będzie bez zamrażania bezy napełniać. **Sc. Ko.**

NOWOŚCI GOSPODARSTWA DOMOWEGO



Sprawianie ryb nie należy do miłych i łatwych zajęć w gospodarstwie domowem, to też przyrząd, ułatwiający tę czynność każda gospodyni przywita z radością. Bardzo pożyteczną okazała się stalowa skrobaczka do usuwania łusek rybich: jej zębate ostrze o ząbkach różnej wielkości pozwala na użycie skrobaczki zarówno do mniejszych, jak i większych ryb.

7 ✦ DNI ✦ DOBREJ ✦ GOSPODYNI

Z dwóch głównych dań obiadu jedno może być w skromniejszych gospodarstwach opuszczone.



Tydzień 20	Maj 31 dni
NIEDZIELA 8 Stanisława b.	Zupa śmietanowa z makaronem. Przystawka z jaj na muszelkach. Kurczęta nadziewane z sałatą wiosenną. Strudel z rabarbaru. Kolacja: Jaja na szynce.
PONIEDZ. 9 Grzegorza	Zupa szczawiowa z ryżem. Potrawa z ziemniaków i grzybów. Zrazy siekane z kaszą. Legomina chlebowa. Kolacja: Leniwe pierogi.
WTOREK 10 Izydora Oracza	Rosół jarski z jarzyn i grzybów z kluseczkami z tartej bułki. Faszerowana kapusta lub kotlety z kapusty. Rulada cielęca - purée z marchwi. Kompot z rabarbaru. Kolacja: Ruskie pierożki z słoninką.
ŚRODA 11 Adolfa, Beaty	Perłówka na śmietanie. Omlety z szpinakiem. Polędwica po angielsku z fritkami. Mądrzyki z sera z bitą śmietaną. Kolacja: Makaron zapiekany z parmezanem.
CZWARTEK 12 Pankracego	Pomidorówka czysta z kluseczkami. Rizotto z groszkiem. Gulasz szekely z bułkowym knedlem. Omlety francuskie z sokiem owocowym. Kolacja: Kasza z kefirem.
PIĄTEK 13 Serwacego	Barszcz zabielany z twardem jajem. Strudel z ziemniaczanego ciasta. Karp duszony z pieczarkami. Makaron z orzechami. Kolacja: Jaja w śmietanie.
SOBOTA 14 Bonifacego	Zupa cytrynowa z ryżem. Kotlety jarskie z sosem szczawiowym. Befsztyki siekane z sadzonemi jajami i szpinakiem. Kruchy placek z serem. Kolacja: Cielęcina na zimno.



HOCKI-KLOCKI

FILM HISTORYCZNY.

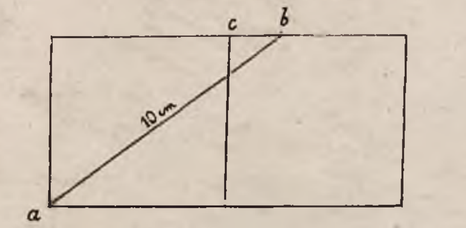


Reżyser: — Zdaje mi się, że coś nie jest w porządku!

(„Esquire").

Rozwiązania Nru z 18-go.

INTELIGENTNA MRÓWKA.



Mrówka przejdzie 10 cm. ponieważ $AB^2 = 6^2+8^2=100$, stąd $AB=10$.

ROZRYWKI UMYSŁOWE

BUDOWA KAJAKÓW.

Trzech chłopców buduje trzy kajaki w trzy dni. W ile dni zbuduje jeden chłopiec jeden kajak?

DWIE CYFRY.

Różnica dwóch cyfr wynosi 4: różnica kwadratów tych cyfr równa się 48. Jakie to cyfry?

POCIĄGI.

Dwa pociągi jadące w przeciwnych kierunkach mijają się w ciągu 3 sekund, natomiast gdy jadą w tym samym kierunku — w ciągu 53 sekund. Jeżeli prędkość szybszego pociągu wynosi 38 km na godzinę, to czy można obliczyć, ile km na godz. robi drugi pociąg?

ODPOWIEDNIA CHWILA.



— Doktorze, czy można obudzić pacjenta, bo go właśnie wzywają do telefonu?

(„Esquire").

Dokończenie ze str. 7-ej.

dnim systemie. Należy tu tylko wziąć kawałek grubego celofanu, zagiąć go dokładnie wzdłuż 4 brzegów znaczka, no i sprawa załatwiona. Tak opakowaną markę można już przylepić podlepką na właściwe miejsce.

Ten drugi system wypada stosować przy znaczkach oczywiście trochę cenniejszych, drukowanych na papierze kredowym, który „farbuje" i wala przeciwległą kartkę albumu. Znaczki kolonij angielskich, bardzo pięknie drukowane, zyskują przez to ogromnie i nie tracą swej świeżości.

Laicy myślą, że to to zupełnie obojętne, czy znaczek ma gumę, czy też nie i gdy oddawałem znaczki do reprodukcji do naszego pierwszego „Kącika filatelistycznego", nie myślałem, że wrócą one przyklejone z całej siły do zwykłego czarnego papieru! Nie powinno się również przyklejać nalepki na całej szerokości, bo znaczek wygina się wówczas i ściąga. Oderwać nalepki nie można, ale jeśli się ją lekko zwilży, można ją niemal całkowicie usunąć.

W. H.

Dokończenie ze str. 24-ej.

ją, jak woda, i jak woda spływały po niej.

Nawet, gdy Marta, nie wiedząca już, co krzyczeć, zrzuciła ukochany obraz na podłogę i w szale wściekłości poczęła go deptać nogami, nie powiedziała nic. Odwróciła się Podeszła cicho do okna i tak zwrócona plecami, z czołem, opartem o szybę, nie odwróciła się nawet wtedy, gdy Marta, szalejąca resztkami furji, chwyciła kapelusz i krzyknęła trzaskając drzwiami:

— Poczekaj! Idę do niego! Ja wam pokażę! Popamiętacie!

Poszła.

Marja stała jeszcze długą chwilę przy oknie. Pomału, dyskretnie, szary mrok i cisza spowijały ją w miękkie dłonie. Kojąco działała pustka małego mieszkania po krzyku i furji przed chwilą. Jeszcze dźwięczały złe, najgorsze słowa, jeszcze plątały się wyrzuty i gniew po kątach... ale już wyganiała je cisza i zmrok. Chłód szyby wydawał się kojącą ręką, położoną na rozpalonem czole. Z głębokiem westchnieniem Marja odwróciła się wkońcu. Wolno podeszła do podeptanego obrazu. Podniosła. Pognieciome niemiłosiernie, brudne, porysowane obcasami ciało chłopca lśniło jeszcze wciąż bladym, żywym blaskiem. Jego miła twarz z czarnemi aksamitnemi oczami zdawała się uśmiechać do niej spokojnie i ufnie. Pogłaskała go dłonią delikatnie. Potem, tak, jak był, pognieciony i brudny ustawiła na sztalugach. Teraz już mógł stać tam, gdzie było jego miejsce. Usiadła naprzeciwko, przymknęła oczy.

Bardzo, bardzo była zmęczona. Życiem i krzykiem Marty. I temi słowami!

Starała się nawet wzbudzić w sobie jakąś niechęć, czy żal do Marty... ale nie czuła nic, prócz wielkiej, zmęczonej ciszy, rozlanej w sercu i wokół niej. Cóż właściwie winna była Marta? Zawiedziona przez życie, nieznająca ciepła miłości Marta?

Zawsze chciała brać! Brać pełnemi garściami najlepsze cząstki. A dziś gdy całem sercem nareszcie zapragnęła dać z siebie wszystko, było zapóźno. Więc buntowała się! Więc krzyczała na nią, na Marję, „ty dziewko", bo wolałaby raczej nią być, niż stać się najlepszą cząstką życia i nie móc jej poznać. Biedna, zbłąkana Marta!

Znane kroki na schodach poderwały ją z fotela. Podeszła do drzwi i spotkały się obie na progu, bez słowa, bez uśmiechu. Poważnie, głęboko objęły się spojrzeniami. Nie zdziwiły Marji oczy Marty, tępe, zgonione, zmęczone bezmiernie oczy skończonego człowieka. Ani jej usta opadłe, nie mające już nawet tyle siły, by zacisnąć się w znajomą, twardą linję. Bezwolnie, bezsilnie opadł podbródek, rozchyliły się spieszczone wargi. — I Marja nie pytała jej o nic. Jedno spojrzenie rzucone na pochylone ramiona, na twarz zmartwiałą jakby, stężałą od bólu, wystarczyło jej i kazało powiedzieć spokojnie i cicho:

— Wejdź, Marto!

Łagodnemi ruchami zdjęła jej z głowy staromodny kapelusz, jak dziecku ściągnęła rękawiczki i płaszcz. Potem objęła ramieniem schyloną postać i wolno pociągnęła w stronę fotelu. Posadziła ją, a sama usiadłszy na poręczy, delikatną, miękką ręką poczęła gładzić te jej bezbarwne, nikłe włosy kojącym ruchem palców.

— Marjo! — powiedziała bezdźwięcznie Marta. — Marjo!

— Tak... powiedz.

— Byłam u niego. Wiesz, — mówiła szeptem, jak tajemnicę — chciałam mu powiedzieć, że to źle, że wstyd, że... wiesz? Ale gdy zobaczyłam go... Jego twarz, Marjo, jego oczy! Jego! Cóż mogłam mu powiedzieć, prawda? Więc zamiast tego... zdradziłam się, rozumiesz? Powiedziałam, wypłakałam przed nim to, że...

— Tak. — Powiedziała cicho Marja i ścisnęła jej ramię uspakajająco.

— A on Marjo! Jego zdumione oczy, zdumione? Nie! On czuł wstręt, rozumiesz, wstręt! Niechęć! Wiesz? Och, Marjo, Marjo, Marjo!

Nagle załamała się.

Gorące, zmywające wszystko łzy popłynęły jej z oczu nieprzerwanym potokiem, spływały po twarzy, szyi, sukni, zostawiając lśniące ślady. Bez głosu, rozpaczliwie, cicho, gorąco, płakała skrzywiona jak dziecko, wtulona w głąb starego, rodzinnego fotelu.

— Marjo! — Jęknęła przez łzy. — Żebyś ty wiedziała!!

— Wiem. — Powiedziała Marja.

Objęła Martę ramionami. Łzy ich zmieszały się razem, dłonie splotły ze sobą. Czuły ciepło swych łez i swych ciał przytulonych do siebie. odnalezionych, bliskich. — Szeptały niepotrzebne słowa przez łzy.

— Płacz, płacz! — szeptała Marja. — To nic. To życie. To nic.

—o—

O tak! – to warto
przeczytać... zobaczyć... usłyszeć...



NOWE KSIĄZKI.

Jan Wiktor: „Wierzby nad Sekwaną". Nowe wydanie tej wspaniałej epopei emigracyjnej, jaką są **Wiktora „Wierzby nad Sekwaną"** stwierdza, że książka ta, pasjonująca treścią i ciężka od problemów, które porusza, cieszy się wciąż niesłabnącem powodzeniem. — „Książnica-Atlas" przybrała nowe wydanie tej niezwykłej powieści, będącej poza „Orką na ugorze" szczytowem — jak na razie — osiągnięciem artystycznem wielkiego pisarza, w piękną szatę i — jak zwykle swe wydawnictwa — w artystyczną obwolutę Sopočki.

E. Tomaszewski: „Widmo niedźwiedzia". Wczesne średniowiecze — Lwów — walki z Tatarami i Litwinami — ciążenie coraz silniejsze ku Polsce i splatanie się z nią Lwiego grodu coraz silniejsze — oto temat historycznej, barwnej powieści **Tomaszewskiego „Widmo niedźwiedzia"**, starannie wydanej przez „Książnicę-Atlas". Ściśle historyczne tło nie krępuje jednak autora, który z rozmachem maluje sceny pełne wyrazu, dając ciekawy obraz ówczesnych obyczajów. Powieść ta — bodajże debjut, a jeśli tak, to bardzo szczęśliwy — zasługuje na uwagę także i z tego powodu, że treścią jej jest fragment z historji Lwowa, miasta, które tak rzadko było tematem powieści.

w. z.

Józef Löbel: „Proszę się nie lękać". Wyd. J. Przeworskiego. Warszawa 1938 r. O zagadkowych funkcjach narządów ciała ludzkiego, o ich tajemniczem przeznaczeniu i niewyczuwalnych walkach organizmu z niewidocznym wrogiem — mówi Löbel w ten sposób, że wszystko staje się jasne, oczywiste, a przedewszystkiem bardzo zajmujące. — Przekładu dokonała St. Baczyńska.

j. m. b.

NA SCENIE.

WARSZAWA. Teatr Ateneum wystawił sztukę Alfreda Gehri pt. **„Szóste piętro"**, ukazującą w scenicznym skrócie życie jednego piętra nowoczesnego domu miejskiego w Paryżu. Pomysłowe dekoracje zaprojektował p. Daszewski. Reżyserowała p. Perzanowska. Z wykonawców należy wymienić pp. Jaraczównę, Nobisówną (która debjutuje w większej roli), Bonacką, Pośpiełowskiego, Żahorską, Kryńską.

KRAKÓW. Teatr im. Słowackiego wystawił historyczną tragędję z XIV w. Antoniego Waśkowskiego **Wikinda.** Rzecz dzieje się na zamku krzyżackim w Malborgu. Rolę mickiewiczowskiego Konrada Wallenroda spełnia tu córka Wajdeloty, kapłanka bogów pogańskich Wikinda. Reżysersko opracował utwór Waśkowskiego W. Nowakowski, który odtworzył znakomicie postać Legata papieskiego. Dekoracje i kostjumy zaprojektował K. Gajewski. W roli wielkiego mistrza Winricha wystąpił W. Woźnik, w roli komturów Konrada i Wiganda — T. Burnatowicz i R. Wroński. Tytułową rolę zagrała M. Bednarska. Wzruszający epizod jako Wajdelota miał T. Białkowski. Z innych wykonawców trzeba wymienić pp. J. Bobrowskiego (Wróż), Opalińskiego (Hundsohn).

LWÓW. W teatrze Rozmaitości ujrzeliśmy **„Lekomyślną siostrę** W. Perzyńskiego. — Reżyserował warszawski inscenizator W. Borowski. W roli Mańki wystąpiła Zofja Barwińska, dając kreację wysokiej miary. W roli Topolnickiego — p. Wojtecki, przypominający sposobem gry Osterwę. Bardzo dobrze spisał się **Leliwa,** jako mąż, poza tem pp. Chaniecka i Górska.

Lwów artystyczno-literacki obchodził uroczyście jubileusz 40-lecia pracy autorskiej Henryka Zbierzchowskiego. W ramach uroczystości jubileuszowych Teatr Wielki wystawił sztukę jubilata pod tytułem: **„Zawsze wierny".** W utworze tym ukazuje autor w 7 żywych obrazach przeszłość Lwowa. Nad realizacją sceniczną utworu pracowali pp.: dyr. Warnecki, Szletyński i Szyndler. Ilustracja muzyczna — J. Munda, oprawa dekoracyjno-kostjumowa — p. M. Różańskiego.

J. J.

NAJLEPSZE AUDYCJE POLSKIEGO RADJA:

Niedziela 8 maja.

9.00 Transmisja nabożeństwa z Katedry na Wawelu.
12.05 Poranek muzyczny z Poznania.
19.40 Słynni wirtuozi — XXI audycja.
22.05 Opowieść o Wagnerze — II audycja, z Krakowa.

★

Poniedziałek, 9 maja.

15.45 „Z pieśnią po kraju"
18.10 Groteski jazzowe.
22.00 Koncert symfoniczny Ork. Polskiego Radja.

★

Wtorek, 10 maja.

11.40 Fragmenty z koncertów fletowych Mozarta.
17.10 Mickiewicz i Maryla w Bolcienikach.
17.30 „Polskie pieśni o wiośnie i miłości" — transmisja do Londynu.
21.00 Koncert symfoniczny z Torunia.

★

Środa, 11 maja.

11.40 Pieśni francuskie.
16.15 Muzyka lekka.
17.15 Miniatury kwartetowe.
18.10 Melodje taneczne na organach Wurlitzera.
21.00 Koncert chopinowski w wykonaniu Pawła Lewieckiego.
21.45 „Bema pamięci rapsod żałobny" — Cyprjana Kamila Norwida.
22.00 Konkurs chórów regionalnych (VII audycja).

★

Czwartek, 12 maja.

11.40 Marsze symfoniczne.
15.30 „Trwałe pomniki wielkości".
17.20 Koncert Poznańskiego Chóru Katedralnego.
18.15 Koncert w wyk. Ork. Rozgłośni Wileńskiej.
20.00 Koncert symfoniczny.
20.40 „W godzinę śmierci".
21.05 „Poemat żałobny" — Woytowicza.
21.45 „Misterjum nocy majowej", Ludwika Hieron. Morstina.

★

Piątek, 13 maja.

11.40 Utwory fortepian. Brahmsa.
17.15 Recital skrzypcowy Stanisława Mikuszewskiego.
18.10 Koncert chóru dzieci krakowskich.
19.00 Teatr Wyobraźni — „Krosienka" I. Krasickiego.
20.00 „Księżniczka Gerolstein" — operetka Offenbacha.
22.00 Koncert — starodawna muzyka angielska.
23.00 „Dzień żałoby w Polsce" — odczyt.

★

Sobota, 14 maja.

11.40 Polonezy symfoniczne.
15.45 „Tajemnica królewskiego zegara" — słuchowisko dla dzieci.
18.15 Pianistki jazzowe.
20.00 Muzyka popularna w wyk. Rozgłośni Wileńskiej.
21.00 „Aida" — opera w 4 aktach.

★

Kompozycje, nadsyłane do działu muzycznego „Asa", zamieszcza się bezpłatnie. — Niezamówionych artykułów Redakcja nie zwraca

Reklamacje w sprawie nieotrzymania lub późnego doręczania egzemplarzy należy wnosić niezwłocznie, pisemnie do Urzędu Pocztowego (doręczeniowego), a nie wprost do Administracji.

SPÓŁKA WYDAWNICZA KURJER S. A. — PRINTED IN POLAND.